Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KOZICA.

(ANTILOPE RUPICAPRA, GEMSE.)

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

(Ciąg dalszy.)

Kożę kozicy tworzy gęsty puch barwy szarej i wystająca nadeń sierść, według pory roku niejednakowo ubarwiona. Sierść jest dosyć sztywna i krucha, w lecie cal do półtora, w zimie u starszych capów do 2 cali długa, mianowicie na głowie, spodzie ciała, w pachach i pachwinach, na nogach i ogonie. Najdłuższą (według Tschudego [1]) 6 do 7 cali) jest wtedy na grzbiecie, tworząc u starszych kozic niejako grzywę ciągnącą się przez cały grzbiet, a dłuższą nad łopatkami i na krzyżach, niż środkiem grzbietu.

Barwa sierści jest bardzo zmienna. Aby ją dokładnie opisać, trzebaby mówić o pojedynczym włosie z różnych okolic ciała, czem jednak stałbym się za rozwlekłym. Wolę przeto rzecz tę więcej ogólnikowo przedstawić. Przedewszystkiem należy nadmienić, że barwa sierści pozostaje tylko miejscami dosyć jednaka w każdej odzieży, na innych zaś zmienia się zwolna według pór roku, a to nietylko skutkiem linienia się i wylinienia, lecz także z powodu zmiany barwy dawniejszej, co zdaniem Tschudego ma przyczynę swoją prawdopodobnie w rozmaitości pożywienia, w wpływach atmosferycznych i w działaniu światła. Ubarwienia stałego są głowa, uszy, ogon, pierś i brzuch. Głowa z podgardlem jest w lecie u płci obojej płowo biaława, zimą u capa zupełnie biała i jak się wyrażają strzelcy, połyskująca. Barwę tę, a właściwie czoło od policzków przegradza z każdej strony brunatna smuga, która się ciągnie od ucha przez oczy aż ku nozdrzom; po za uszami smugi te odbijając się dość wyraźnie od jaśniejszego karku, co zwłaszcza na kozicy pirenejskiej dobrze widziałem, schodzą po bokach szyi ku piersi, gdzie się z sobą łączą. Tylna strona ucha jest ciemno brunatna, wnętrzna zaś biaława. Pierś czyli po strzelecku mostek u capa i kozy jest czarniawy, brzuch bury, ogon z wierzchu u nasady rdzawo szary, na końcu i spodzie czarniawy; pośladki poniżej ogona

[1]) Niechaj mi nikt nie bierze za złe, że tu i owdzie odwołuję się do pisarzów o kozicy. Sam bowiem nigdy nie polowałem na kozice i nie miałem sposobności przypatrzeć się zabitym w różnych porach roku. Od górali nie można się wszystkich szczegółów dokładnie wywiedzieć, a smakosze, którzy już wiele tych zwierząt natępili, dbali tylko o podniebienie, nie zaś o naukę.

(lustro) są u capa i kozy żółtawo białe, u koźlęcia jaśniejsze. Co do czarniawego pasu, utworzonego wzdłuż grzbietu przez wspomnianą powyżej grzywę, zdania się rozchodzą. Według podań jednych strzelców tatrzańskich uwydatnia się ten pas po św. Michale i widoczny jest przez jesień i zimę; inni znowu utrzymują, że pokazuje się około św. Jakuba, i mogą mieć w tej mierze słuszność, gdyż odbija on od cisawej barwy letniej także na okazie kozicy tatrzańskiej, przechowywanym w krakowskiem muzeum zoologicznem. Według Tschudego widny on jest przez rok cały; Blasius zaś pisze, że zimą ledwie da się rozpoznać. Sprzeczność tych zdań polega więcej na zapatrywaniu i wysłowieniu się, niż na rzeczy samej, albowiem w zimie w ogóle ubarwienie kozicy jest ciemniejsze, zatem i ów pas mógł się Blasiusowi wydawać prawie nie do rozpoznania. A że w Alpach kozice i w lecie są bliżej wiecznych śniegów i lodów, których w tym czasie prawie zupełny brak w Tatrach, to twierdzenia tak Tschudego jakoteż strzelców tatrzańskich za zgodne z rzeczywistością uważać należy.

Barwa sierści innych okolic ciała zmienia się zwolna, jak się to już powyżej rzekło. W ogólności kozica jest na wiosnę najjaśniejsza, w zimie zaś najciemniejsza. Strzelcy tatrzańscy opisując barwę mówią, że kozica po św. Michale i w zimie jest c z a r n i u t k a, z grzbietem mroziatym dla białych końców sierści, z wiosny b i a ł a, co znaczy żółtawa jak zeschły szuwar [1]), w lecie c i s a w a, a w sierpniu b u r a. Ubarwienie to tłómaczą oni sobie tak, że czarna sierść zimowa na wiosnę przed linieniem siwieje, na lato zaś odrasta nowa sierść cisawa, która w jesieni wydaje się burawą, gdyż się mięsza z nią nadrastająca czarna sierść zimowa. Koza jest pod jesień cisawsza i zawsze jaśniejsza od capa, po św. Michale ma policzki czerwonawe (czerwieniate); capy w tej porze mają przodki (szyję i pierś) czarne, a policzki białe. Najpiękniejszą sierść mają kozice około św. Katarzyny, gdy się zaczynają ścigać [2]).

O linieniu się kozic opowiadają strzelcy tatrzańscy następne szczegóły. Kozice linią się na wiosnę, gdy śnieg ginie i trawa się po graniach [3]) puszcza. Sierść czarna schodzi wtenczas wraz z puchem, a odrasta krótka sierść cisawa. Naprzód tracą kozice grzywę, której też potem prawie całkiem nie znać. Schodząca sierść jest zbita i kołtunowata, czyli według wyrażania się strzelców spistwiona, i odpada całymi kłakami czyli kłapciami. Na zabitej na wiosnę kozicy można sierść zimową zupełnie zgłaskać, tylko nie pod brzuchem, a strzelcy czyniąc to, z urąganiem mawiali: „Trzeba ją dolinić, coby się ładniejszą widziała do sprzedaju.“ Pod brzuchem schodzi sierść dopiero po wylinieniu się całego wierzchu. Z letniej sierści cisawej linią się kozice w jesieni i wypada ona wtedy jeno miejscami i po jednej, nie zaś naraz, jak na wiosnę. Przerastająca ją sierść dłuższa barwy czarnej pozostaje już przez zimę, ale nie jest zbyt gęstą, puch tylko jest bardzo zbity.

---

[1]) Szuwarem czyli sywarem i siwarem (stąd nazwa ptaka siwarnika, *Anthus spinoletta)* są u nich twarde, sztywne trawy halskie, mianowicie też sitowate *(Juncus trifidus)* i kosmatki *(Luzulae)*.

[2]) Tschudi nadmienia, iż ubito w Alpach przy końcu roku 1853 kozicę mleczno białą z takiemi raciami i czerwoną tęczą. Była to samiczka około pół roku mająca, której proste rożki mało co nad cal były długie. Z Tatr nie zna się ani jednego przykładu albinizmu.

[3]) U górali beskidowych i w Tatrach tyle co ostra krawędź góry.

Samica ma dwie pary sutek w pachwinach, tylną parę mniejszą i zdaniem strzelców mniej mleczną aniżeli przednią, a skurłat czyli wymię [1]) małe. Strzelcy nazywają samicę starszą kozą, dwuroczną wetulą (tyle co jałówką), młode koźlęciem, samca capem, młodego capiorkiem. Mając oko nader wprawne, zdołają oni obie płci nawet z daleka rozróżnić. Cap bowiem, w ogóle nieco roślejszy od kozy i z grubszą głową, ma rogi wyższe. w dolnej części (dołu) grubsze, między kulkami szerzej rozstąpione, nadto same kulki większe, a policzki bielsze. U kozy są rogi niższe, cieńsze, z mniejszemi kulkami, prócz tego więcej do siebie zbliżone i prawie równoległe, policzki biało żółte. Jest ona zresztą budowy smaglejszej niż cap, ma też krótszy włos i węższą grzywę niż on. Wydatne to wprawdzie różnice, ale jakiegoż to orlego potrzeba wzroku, by je w dali rozpoznać! Zaiste, trzeba podziwiać oko strzelców, wprawione na długoletnich polowaniach na kozicę. Kozy, która nie miała jeszcze koźlęcia, nie rozezna od capa, jak oni twierdzą, chyba na kilkadziesiąt kroków i tylko po rogach. Kozy za młodu dla płonego zimowiska zanędzniałe, mają rożki cienkie, blisko siebie stojące, a kulki tak małe, iż zabitą trudno na nich uwiesić na grubym kołku. Twierdzą też strzelcy, że koza parzy się dopiero w trzecim roku, co chcą wiedzieć z poznanego wieku po rocznych przyrostach czyli obrączkach rogów.

Kozice są zwierzęta kształtne, zgodliwe, bojaźliwe i trzymające się zawsze gromadkami czyli kierdelkami. Przyrodzone ich usposobienie wiele ma powabu, mianowicie ich żywość i wesołość, nadzwyczajna przezorność i ostrożność, zwłaszcza gdy się już zetknęły z nieubłaganym wrogiem swoim, człowiekiem. Przedziwnie są chyże w biegu, tudzież pewne w spinaniu się po skałach. Władze umysłowe mają dosyć ograniczone, zmysły zaś doskonałe. Żyją w wielożeństwie; ruja czyli ściganie się przypada na miesiąc Listopad, a kocenie się na wiosnę. Głosem ich jest słabe beczenie, w niebezpieczeństwie zaś gwizd wydawany najprawdopodobniej nozdrzami, wprawdzie donośny, ale nie tak przenikliwy, jak świstaka. Zamieszkują jak świstak puste, dzikie, strome, skaliste i wysokie góry Europy, ku czemu też mają zastosowaną budowę ciała. U nas żyją w Tatrach. W pasmie Karpat nie ma ich teraz już nigdzie indziej; na wschodnim onych końcu znajdowały się, jak powyżej nadmieniono, na Czarnohorze, dokąd zapewne z gór siedmiogrodzkich podchodziły, lecz Huculi nie dają im się ostać i ubijają je, skoro się tylko która pojawi. O szczegółach tutaj ogółowo napomkniętych w dalszym toku rozprawy obszerniej będzie mowa.

P o b y t. Kraina, w której przyroda kozicy wskazała pobyt i w której ta pędzi swój żywot, rozpoczyna się dopiero ponad górną granicą lasów i sięga przez kosodrzewiny aż do szczytów, w Alpach i indziej aż do granicy wiecznych śniegów. Według tego, czy kozice trzymają się więcej turni lub też krańca regli, strzelcy w Alpach rozróżniają je na turniowe i reglowe. W Tatrach wprawdzie tej różnicy nie robią, bo kozice nie żyją tutaj w reglach; wszakże nadmienić należy, że stare capy latem trzymają się kosodrzewiny i górnej granicy lasów, bo im trudno chodzić po turniach.

---

[1]) Podhalanie odnoszą wyraz w y m i ę do krowy, s k u r ł a t zaś do klaczy, owcy, kozy i kozicy. W czeskiem s k u r á k znaczy wymię owcze.

W Tatrach utrzymują się kozice najliczniej w najwyżej wzniesionej części wschodniej, t. j. pomiędzy wierchami Świnnicą, Krywaniem i Łomnicą, zwłaszcza na Krywaniu i okolicznych turniach, jak się o tem sam przekonałem. Są też w zachodniej części Tatr na Rohaczach. Więc trzymają się gór przeszło 2000 metrów wysokich, zawsze obficiej na stronie południowej czyli węgierskiej, niż na północnej czyli polskiej. Po naszej stronie bywały kozice w Klinie starorobociańskim, na Bystrej i jej stokach liptowskich, z których ramię wschodnie nad doliną Kamienistą zwą jelenimi perciami [1]), na Czerwonych Wierchach, nad Gąsienicowymi stawami, koło Świnnicy aż ku ostatnim dwom stawom Gąsienicowym (najwyższy 1797 m.), koło Kościelca i Zawratu, w Pańszczycy, koło Pięciu stawów polskich, w Waksmundzkiej, najwięcej na dzikim Wołoszynie, potem na Koszystej i na Granacie, w Buczynowej i koło tak zwanych Czarnych ścian czyli Koziego Wierchu nad Zmarzłem przy Zawracie. Nawet na Giewont zaszedł raz w zimie cap z Gołych Wierchów. W turniach Kasprowskich kozice także się pojawiają, a zdaniem strzelców zakopiańskich dochodziłyby one nawet do Magóry zakopiańskiej, gdyby miały spokój. Główną atoli ojczyzną tych zwierząt w Tatrach, jak się rzekło powyżej, są turnie spiskie i liptowskie od Mięguszowieckiej i Krywania aż po Łomnicę. Ramię Tatr zachodnie, dochodzące w kilku szczytach 2200 m. wysokości, ożywi się niemi, gdy nie będą wytępiane.

Latem bawią kozice głównie w krainie nieprzystępnych turni. Rzadko kiedy schodzą ztamtąd w kosodrzewinę, a w doliny tylko gdy się rozproszą. W Alpach trzymają się szczególnie pobliża lodowców i wiecznego śniegu w tych okolicach, gdzie ich nie ochraniają, lecz je strzelają. Przebywając w pustyni świata turniowego, mile ją bytnością swoją ożywiają, a przerywając jak świstak donośnym gwizdem głuchą ciszę panującą na tych wysokościach, dziwną jakąś i niewysłowioną radością napełniają przychodnia, czującego się samotnym wśród morza martwych i gołych głazów, jeżli umie pojmować wzniosłą piękność przyrody. Jakże obmierzłymi dla takich stają się gastronomy, którzy jak w innych zwierzętach, tak też w kozicy, nadającej przed wszystkiemi innemi zwierzętami górom najwięcej uroku, nic innego nie widzą, jak tylko coś, co przez brzuch przepuścić należy!

R u c h y. Łysice górskie to nie stepy i błonia lub równie. Więc też i kozica przeznaczona do pobytu na skalistych wierchach, ma budowę tak ciała jak odnóży ku temu zastósowaną. Gdy się czuje bezpieczną, postawa jej jest częstokroć niedbała i niepowabna, trzyma bowiem nogi krzywo i wlecze je ociężale za sobą. Inaczej atoli ma się rzecz z kozicą, która zwróciła uwagę swoją na przedmiot jaki i śledzi możebnego lub grożącego niebezpieczeństwa. Natenczas zmienia w mgnieniu oka postać swoją, napręża bowiem mięśnie jak sprężyny stalowe i staje gotową do spiesznej ucieczki, śmiała jej postawa nabiera, jak mówi Tschudi, coś jenialnego, a każdy z jej ruchów zdradza siłę, zgrabność, nadobność, lekkość i pewność siebie. Zwykły jej chód jest leniwy i gnuśny, co też widać na kozicach niewolonych po zwierzyńcach. Po stromych i urwistych skałach spina się zgrabnie i zręcznie za pomocą ostrych raci. Nie bieży nigdy kłusem, lecz zawsze cwałem, a raczej przepysznemi, do 20 stóp długimi susy (hipkaniem podobnem do zajęczego), gdy pędem wiatru sadzi przez przepaści lub goni po urwiskach i lodowcach. W chybkości nóg swych szuka ocalenia, gdy się znajduje w niebezpieczeństwie, nie inaczej też go uchodzi jak ucieczką. Zgoniona otwiera pyszczek i wywiesza język.

Jakoż chcąc sobie utworzyć należyte wyobrażenie o niepojętej zaiste pewności ruchów i skoków kozicy, o nadzwyczajnej chybkości, niepospolitej sprężności i wytrwałości jej biegu, trzeba ją widzieć w nagłej ucieczce w przepaścistej dziedzinie swojej. Wtedy bowiem właśnie te przymioty niewymownie są spotęgowane, i rzeczywiście nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy szybkość, czy też śmiałość i pewność, z jaką pędzi po bezdrożnych urwiskach.

Cwałująca kozica zarzuca głowę nieco w tył, a nogi tęgo naprzód wyciąga, i czy sadzi piargiem, czy też po szczeliniastych turnicach lub naszternanych głazach, nigdy niemi nie trafi w dziurę, lecz zawsze na kamień pierwej upatrzony, tak u niej oczy są współczynne z nogami. Patrząc na nią, jeszcze się nie ockniesz z zadziwienia, a już przebiegła znaczną przestrzeń i jakby mara znikła za skałami.

Znając swe rodzinne góry i mając w wysokim stopniu wykształcony zmysł brania zoru [1]), kozica nie namyśla się długo dla obrania drogi, lecz ruszywszy z kopyta sadzi dalej znanemi sobie przejściami ku miejscom bezpiecznym. Ze szczytów zbiega zakosami dołu nawet po najstromszych urwistych skałach z przedziwną zręcznością i pewnością jakby po równej dolinie, a przytem tak chybko, że ledwo dotyka skały i tylko mknie się przed oczyma, a strzelec choćby najwprawniejszy nie ma nawet czasu wziąć ją na cel. Przeciwnie z dołu w górę sadzi wolniej, wtedy bowiem zmuszona jest pozierać, gdzie i kędy przejście. Gdy jej w turniach czasem zastąpi dalszą drogę krzesanica niedostępna, natenczas zatrzymuje się przed nią na chwilkę, rozpatruje się za inną drogą, zwraca się nazad dołu i pędzi nią znów do góry. Toż na stromej ścianie wstrzymana przepaścią wraca nazad drogą przebytą i udaje się w inną stronę, jak to sam widziałem na Krywaniu. Kozicy natarczywie ściganej rzadko kiedy zdarzy się zaplątać się w turniach i zapędzić się na przepaściste miejsca, skądby jej niepodobna było ani wprzód postąpić, ani też dla ciasności miejsca zwrócić się. Przyparta w takim razie, stoi chwilę nad otchłanią, poczem już to niekiedy usiłując uskutecznić ocalenie niemożebne, rzuca się w nią i zabija, już też przezwyciężając obawę przed swym wrogim prześladowcą, wraca mimo niego. Więc bezporadną kozica prawie nigdy nie stanie na miejscach nawet najgorszych, jak to właśnie według Tschudego zdarza się w Alpach mniej rozsądnej kozie swojskiej, która w takim wypadku becząc czeka, aż ją pasterz stamtąd zniesie z niebezpieczeństwem własnego życia.

---

[1]) Ta nazwa zdaje się świadczyć, że dawniejszymi czasy w Tatrach były także jelenie. W moim P r z e g l ą d z i e p r a c d o t y c h c z a s o w y c h o k r ę g o w c a c h g a l i c y j s k i c h, zamieszczonym w tomie XXXIII Rocznika Tow. nauk. krak. namieniłem, że w r. 1860 zabłąkał się w Tatry skądsiś piękny rogacz w regle pod Wołoszynem. Na wieść o tem zdarzeniu strzelcy nie mieli nic pilniejszego jak zrobić polowanie na okazałego gościa. Zapędzono go na stronę węgierską, gdzie został zabity.

[1]) Brać zór, wyrażenie wzięte od Zakopian, tyle co oryentować się. Wyraz z ó r jest może w związku z wyrazami p o z ó r, p o z i e r a ć i t. d.

*

Również podziwienia godne są pewność, zręczność i siła kozicy w skakaniu, zwłaszcza gdy jest w strachu i niebezpieczeństwie. Trudno wprawdzie liczbami pewne i dokładne podać w tej mierze szczegóły, wszakże pewna, że z łatwością i bez namysłu nietylko przeskakuje przepaści [1]) lub żleby kilkusążniowe, stawając na drugiej stronie natychmiast na nogach, lecz także goniąc gzemsikami ściany urwistej, daleko wyskakuje i zeskakuje na najwęższy wysterek, do którego zmierzała. Nie chybia go nigdy, utrzymuje się na nim w równowadze, waży się, mierzy szybko najbliższe miejsce, na któreby dalej mogła wskoczyć, nadaje rzut ciału tylnemi nogami i dopada nieomylnie upatrzonego odstępu ledwie na piędź szerokiego, co póty powtarza, aż się dostanie na miejsce równiejsze. Nie mogąc zaś w zeskakiwaniu żadnego wysterku dopaść i chwilowem zatrzymaniem się zmniejszyć gwałtowności spadku, zarzuca głowę i kark w tył, a sparłszy ciężar ciała na tylnych nogach, zjeżdża po skale na dół, usiłując silnem o nię oparciem nóg zmniejszyć nagłość spadku. Przytomność umysłu kozicy podczas takiego spuszczania się ma być według Tschudego tak wielką, że spostrzegłszy wtedy jaki wysterek skały, któryby ją mógł ocalić, nogami i całem ciałem steruje, aby się nań dostać, opisując tym sposobem krzywą linię w spadku. Słusznie też woła Tschudi, że są tutaj istotnie cuda, o których książkowi badacze i publiczność nie wyzierająca ze swoich pokojów nie ma ani wyobrażenia. Capy ścigające się podczas rui, zjeżdżają według opowiadań strzelców tatrzańskich własnowolnie po kilkusążniowych ścianach gładkich na dolny upłazek. Stanąwszy nad taką ścianą, przycupują na brzuch, wytężają w tył głowę i przód ciała dla zmiany położenia punktu ciężkości, a złożywszy wszystkie cztery nogi razem, zjeżdżają na dół, wstrzymując pęd także ratkami. Przypadłszy do upłazku, w jednej chwili się zrywają i jak szalone dalej gonią.

Rozpędzona kozica może od razu przeskoczyć prostopadłe ściany, według Tschudego do 14 stóp i więcej wysokie. Bez trudu też wyskakuje na turnię lub jej wysterek takiej samej wysokości. Sam widziałem jednę, która nie dostawszy nogami zadniemi wierchu turni, zatrzymała się na nim przedniemi aż po kolana i w mgnieniu oka wsparłszy się tylnemi o ścianę turni, podrzuciła tył ciała, stanęła na wszystkich czterech nogach i dalej popędziła.

Kozica odważa się też zeskoczyć w głąb, według Tschudego do 24 stóp i więcej, nie ponosząc przytem żadnej szkody. Ścigana zaś, gdy się rzuci w głębszą otchłań, łamie kości lub zabija się. I tak opowiadał mi pewien strzelec, że podkradłszy się ku dwom kozicom na turni spoczywającym, jednę z nich zestrzelił stamtąd. Gdy ta spadła dołu, a druga ujść chciała, nie puścił jej mimo siebie, lecz krzycząc i ciskając kamieniami nagnał biedaczkę na złe miejsce, skąd w strachu zeskoczyła (hipła) w przepaść i zabiła się. Tenże strzelec opowiadał także inny wypadek, któryby właśnie dowodził niechętnego kozicy zeskakiwania dla ratowania się przed swoim prześladowcą. Zapędził bowiem jednego razu capa na taki wysterek skrzesanej turni, że nieborak nie mógł się już nigdzie podzieć, ani w przód ani w tył ruszyć, gdyż przed nim ziejąca przepaść, a za nim wrogi strzelec, który mu jedyny możebny odwrót zastąpił. Pewny swej ofiary, szedł tedy namieniony strzelec na capa, a siadłszy na strzał wygodny, nabijał strzelbę. Przyparty i dręczony cap spoglądał czasem ku niemu, ale zaraz znowu odwracał głowę ku turni, nie mogąc znieść widoku człowieka czyhającego na jego zgubę. Od strachu jeżył grzywę ku głowie, trzęsąc się na całem ciele, wszakże nie miał odwagi zeskoczyć w przepaść lub wrócić mimo swego prześladowcy, który go wreszcie wśród urągania: „Capuś! capuś! już więcej kraść (podchodzić) cię nie będę ani też będziesz chodził po świecie“, zestrzelił stamtąd.

[1]) Według Tschudego zmierzono na Monte Rosa przepaść przeskoczoną przez kozicę. Była 21 stóp par. szeroką.

O kozicy alpejskiej pisze Tschudi, że lodowce i twarde śniegi przebywa lotem strzały, zaś wolniej i ostrożniej postępuje po śniegu miękkim, w którym zapada się. Najostrożniejszą atoli jest na zlodowaciałym, skrupiałym śniegu powyżej lodowców, niemniej na lodowcach zasypanych świeżym śniegiem, który przepaściste szczeliny w lodzie zdradliwie zakrywa. Tutaj widziano ją, jak nieraz wracała, podczas gdy człowiek odważył się iść oględnie dalej. Z ostrożności tej korzystają nieludzcy strzelcy na zgubę biednego zwierzęcia.

Tak więc kozica zrosłszy się niejako z przyrodą swych gór rodzinnych, umie sobie łatwo w nich poradzić w każdem prawie położeniu. To też nigdy ich jak świstak dobrowolnie nie opuszcza. Zmuszona wszakże niekiedy do tego i dostawszy się na doły, krainę obcą sobie, okazuje się nieporadną, a nawet tak dalece niedołężną, że nie wie, co z sobą począć i na niechybną idzie zgubę. Za dowód może posłużyć następujący przykład, podany przez Tschudego. Cap prawdopodobnie ścigany w górach i usiłujący ujść grożącego sobie niebezpieczeństwa, dostał się do doliny na łąki. Lubo tu nikt nie nastawał na niego, pędził na oślep, przesadzał zarośla i wskoczył w staw, po którym długo tam i sam pływał, aż go wreszcie ludzie dopadli.

Znamienite przymioty kozicy są jej tedy tylko w skalistych górach pożyteczne, w dołach zaś na nic jej się nie przydadzą. Stąd też jej nieporadność tutaj, stąd pozorny brak zmysłu zachowawczego, stąd w ogóle niemożność przesiedlenia się z jednego pasma gór na inne odległe, z czego zarazem koniecznie wynika, iż raz wytępiona w pewnych górach, dla nich przepada, gdyż ani jest zdolną zajść do nich skądinąd, jak np. jelenie, sarny, dziki i inne zwierzęta przechodzą z okolicy jednej do drugiej, ani też nie przepuściliby myśliwi odbywającej podróż daleką. Jakoż ta właśnie okoliczność upoważnia do ujęcia się za kozicami i do uroczystego upomnienia myśliwych: Nie prześladujcie kozic!

Zmysły. Zdawałoby się, że kozice na swych pustych wierchach używają zupełnej swobody i gnuśne mogą pędzić życie. Tymczasem są one narażone na rozliczne przygody i muszą się przed niemi ustawicznie mieć na baczności. Do wyśledzenia niebezpieczeństwa służą im zmysły zawsze czujne, mianowicie bystry wzrok, wyborny słuch, a nadewszystko węch doskonały. Przedziwna znowu chybkość obok dokładnej znajomości gór usposabia je do uniknienia wielu niebezpieczeństw, których też uchodzą szybką ucieczką.

Oko ma kozica mocno wypukłe, w skutek czego zdaniem strzelców widzi około siebie. W okolicznych turniach spostrzega w dni pogodne z bardzo daleka najmniejszy przedmiot niezwykły, np. człowieka skradającego się raczkiem po za głazami, odróżnia go dobrze od skały, ciągle też w tę stronę z niedowierzaniem poziera i ma go na oku, aby jej

nie zaskoczył znienacka. Na widok człowieka rozmaicie się zachowuje. Przed oddalonym i nieruszającym się czasem nie pierzcha, lecz stoi jak wryta lub leży jak głaz nieruchoma, przypatrując mu się uważnie. Gdy się zaś człowiek rusza, mówi lub ku niej zbliża się, natenczas umyka w kierunku nawykłym ku znanemu sobie niezbyt odległemu miejscu schronienia. Czasem odbiega tylko z kilkadziesiąt kroków i znowu staje, spogląda chwilę ku niemu, uderzając (cupkając) silnie o ziemię przednią nogą, to prawą to lewą, lub obiedwiema, gwizdnie potem i dalej uchodzi. Niekiedy atoli dotrzymuje uporczywie miejsca nawet z bliska, jak to raz w r. 1864 na własne widziałem oczy. Pragnąc wtedy przypatrzyć się kozicom samym i ich zachowaniu się na wolności, poszedłem umyślnie w tym celu z przewodnikami Sieczką i Walą na Krywań, który jest główną tych zwierząt ojczyzną. Wypatrzywszy gromadkę pięciu kozic, podkradliśmy się ku nim przy pomyślnym dla nas wietrze na jakie sto kroków. Do zaczajenia się nie było innego miejsca jak wąski głaz, sterczący z przepaścistej ściany, więc chcąc nie chcąc musiałem korzystać z tej jedynej zasłony. Sparłszy się na głazie, wychyliłem ostrożnie nad wierzchołkową krawędź jego głowę po oczy i tak długo syciłem się widokiem kozic, nic nie przeczuwających, przypatrując się im dokładnie, jak się pasły, mierendzały, leżały, igrały, nasłuchiwały i t. p. Napatrzywszy się wszystkiemu do sytu i mocno znużony nader niewygodnem położeniem ciała, pokazałem się im wreszcie cały, by je znaglić do ucieczki, przezemnie jeszcze niewidzianej. I rzeczywiście cztery z nich zoczywszy mnie, jakby piorunem rażone w jednej chwili ruszyły z kopyta ku kotlinie, sadząc ogromnymi susy, które podziwiałem, dopóki gromadka nie znikła mi z oczu. Atoli piąta kozica, która straż trzymała, stojąc nieopodal tamtych na przeźrocznej grani, nie pierzchła, owszem została na swojem miejscu i wlepiwszy w nas ciekawie oczy, tupała przedniemi nogami o turnię, gwizdnęła raz i drugi i nie dała się skłonić do ucieczki, lubom ją straszył krzykiem i płoszył machaniem siatki po powietrzu. Dopiero po chwili jakby z własnej woli odbiegła kawałek, stanęła znowu na czubałku turni, obróciwszy się ku nam, tupała nogami i gwizdała, co kilkakrotnie powtórzywszy, uszła wreszcie ku wierchom. Czy przeczuwała, że jej krzywdy nie wyrządzimy? Któż wie! Może też była to kozica, która nie doznawszy jeszcze żadnego prześladowania, okazała się wobec człowieka tak poufałą. Dotrzymując tak uporczywie miejsca strzelcowi, byłaby swą ciekawość czy śmiałość niezawodnie przypłaciła życiem. Gdyby zresztą każda kozica tak była nieprzezorna dowierzająca, jak ta właśnie, o której dopiero mówiłem, natenczas nie byłoby zaiste nic dziwnego, gdyby je wszystkie w jednym wystrzelano roku. Szczęściem tak nie jest. W końcu nadmieniam, że za dnia nikt jeszcze nie spostrzegł w Tatrach kozicy śpiącej lub przynajmniej z oczami zmrużonemi. Widziane przezemnie i innych miały oczy zawsze otwarte, nawet gdy spoczywając mogły się mieć za całkiem bezpieczne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pierwszy Dzik.

Urywek z pamiętnika.

Odkąd mi, wyrostkiem prawie —
Gdym na szkolnej siedział ławie —
Po raz pierwszy w róg zagrano,
Odtąd, boska Ty Dyano,
Przy ponętnym Twym rydwanie
Wiernie kroczę, niezachwianie!
Służbym niósł Ci po kolei:
W dzikim stepie, w górskiej kniei,
I na błotach, i na wodzie,
I o chłodzie — i o głodzie.
Rozmaicie tam bywało;
Oj, nieraz się spudłowało,
Czasem się spisało gracko,
Minę miało się junacką,
A gdy w ręku błysła lufka,
Pyszna dziadka dziwirówka —
Szło się panie, tam do kata,
Jakby na podbicie świata!...
W dziwirówki zaś mosanie,
Jak przyszedłem posiadanie,
Kto ciekawy, niech posłucha,
Gawęda to godna ucha!...
Z młodzieńczych ją wspomnień snuję
I w hołd Dyanie dedykuję.

* * *

Lat czternaście mi mijało,
W szkole byłem, jakich mało!
Rodzic mój, myśliwy stary,
W czas zaprawiał mnie z ogary,
W każdem polu mnie układał,
I rad mawiał, żem się nadał;
Ja zaś dość pojętne chłopię,
Polowałem, co wytropię:
Kszyki, lisy i rogacze,
I kopyry, szczwane gracze,
Ba! ubiłem nawet żbika!
Alem wzdychał wciąż do dzika...

Pomnę — była to sobota —
Właśnie powróciłem z błota,
Wpada Hryńko: *„Proszu pana!
Pid sosnynu nyni z rana,
Takij dyk, ot jak korowa,
Pryjszoł wid Popoworowa.“*
„Dobrze Hryciu — ojciec rzecze —
Bierzże za pas nogi człecze,
I skocz co tchu po Burłaka,
Niech tu przyjdzie!“ — *„A sobaka,
Proszu pana?“* — „Weź na sforę
I idź prosto pod „Hrehorę“.
Ty zaś, synku, daj gwintówkę,
Stępel, plastron i łojówkę,
Trzeba kulę wsadzić gładko,
By ją poczuł pod łopatką!...

Cóż tak ci się ślepie świecą?“ —
„Radbym... także..,“ — „Co? z ptasznicą?!
A młokosie! tobie dziki?
Nie źle wprawdzie zmiatasz kszyki,
Aportujesz kaczki z wody,
Lecz na dziki — jeszcześ młody!“
„Ej tateczku...“ — „Za piec błaźnie!
Tożby dzik ci sprawił łaźnię!
Ho, ho! trema to nielada,
Gdy odyniec jak grom wpada
Na myśliwca rozjuszony,
Gdy psy rwą go na wsze strony,
Pianę toczy, kłami kłapie,
Oczy krwawiąc, strasznie sapie —
I cóż wtenczas? Kto gorączka,
To spudłuje, bo go drżączka
Na ten widok porwie taka,
Że w mig pali — wprost do pniaka.
Gdyby choć nieszczęścia tyle!
Lecz gdy w złą spudłujesz chwilę,
I paf!... a tu jęknie psisko!
Toż dopiero w lot dziczysko,
Gdyby piorun na cię wali.“
„Myk na drzewo!“ — „O, zmykali
Przed tą bestyą już nie tacy
Jak ty fryce, lecz junacy;
Bo tu chłopcze nie ma żartów,
Dzik straszniejszy od stu czartów!“
„Ależ tatku — rzeknę śmiało —
Czy to kul wsadziłem mało
W krążek, co się toczy szparko,
Gdy nim rzuci zuch Zacharko.
Albo lisa czym spudłował,
Co w „Psim kącie“ wciąż myszkował,
Źlem go, ojcze, kulką trzepnął
Z mej ptaszniczki? — ani ziepnął!“
„Tra, la, la, et, banialuki
Krążki, lisy, wielkie sztuki!
Co innego dzicze szable —
Ale zresztą, mały diable,
Ruszysz z nami; strzelbę z kołka!
Nabij śrótem, a koziołka —
Gdy już skończym z dzikiem sprawę -
Ubić możesz na potrawę,
Lecz do dzika strzelać wara!
Bo cię zetnie bestya stara.“

— — — — — — — —

Więc ja ojca cmoknę w ręce,
I z ptaszniczką w lot się skręcę,
A choć ojciec — świeć mu Panie —
Za niesforność sprawiał „lanie“,
W kącik się ukradkiem wtulę
I pakuję w lufkę — kulę.

„Huż go! Zagraj!“ — Hryć poszczuje,
A ja dziwny zapał czuję,
Serce w piersi aż mi skacze,
O, niech tylko go zobaczę!...
Huf, huf! Basem Zagraj goni,
Pojedynkę cisnę w dłoni...
Wtem: *„Dyk! pylnuj!“* — Hrycio wrzaśnie.
A niechże cię piorun trzaśnie!
Idzie na mnie, to widoczne,
Cóż ja z pojedynką pocznę?...
Będziesz tu w robocie skóra!
Nie zbyt miła pozytura.
Łydki drżą mi niby w febrze —
Masz go — łomot słyszę w debrze,
Coś fuknęło strasznie, blisko,
Zajęczało biedne psisko,
Jęk widocznie to ostatni!...
Aż tu — dzik wypadłszy z matni,
Na sztych pędem na mnie ruszy!
Tylkom się pomodlił w duszy,
Broń do oka — cel... i palę!
Dzik ruluje... Doskonale!

— — — — — — — — —

Ha!!... Wtem zwierz się zrywa srogi,
Sadzi na dym — a ja... w nogi!
Chwytam gałęź — hyc na buka!
Dzik podemną kłapie, fuka,
Tnie szablami w prawo, w lewo,
Wreszcie kładzie się pod drzewo.
Dobryś! — Trzyma mnie w areszcie...
Aż struchlałem... Wrzasnę wreszcie,
Słysząc, iż ktoś debrą bieży,
„Ratuj, hej! kto w Boga wierzy!“
Blady ojciec od polany
Pędzi ku mnie... Włos rozwiany,
Czapkę zgubił, drży mu ręka,
Stanął, spojrzał — i przyklęka.
Ja weń patrzę gdyby w tęczę,
Poty zlały mnie zajęcze;
Wtem wstał. — Cóż to?... Boże przemień!
Wszak on strzelbę wziął na rzemień
I spokojnie wprost do buka
Kroczy. Czego on tam szuka?...
Hm — nie strzela, wąsy kręci,
Tfu!... U diaska! Co się święci?

— — — — — — — — —

„Złaź hultaju!“ — „Ja nie głupi...
Niech mnie ojciec wpierw wykupi
Z tej niewoli.“ — „Co aść plecie?“
„Co? — Dzik mnie pilnuje przecie!...
Oj, nie puści mnie na sucho,
Więc mu grzmotnij ojcze w ucho!“
„Aha?... respekt masz przed dzikiem?
Złaź! — Odyniec nieboszczykiem.“
Skoczę z buka więc radośnie,
I w tryumfie pierś mi rośnie;
W koło drzewa spustoszenie!
Kora ścięta, a korzenie
W strzępki potargane kłami,
Barłóg śmierci jucha plami,
A gwizd pełen ziemi, trawy!
Na plac walki patrząc krwawy,
Na to mojej ręki dzieło,
Tyle uczuć się przemknęło
Przez młodzieńczą moją duszę,
Że — et, lepiej pióro skruszę,
Bo tych wrażeń w żadnej mowie,
Żadne słowo nie wypowie...

Przybiegł Burłak, za nim Hrycio:
„Preczystaja ty Diwycio!
Wo imia Otca taj i Syna,
Pek, pek jemu! — Joj detyna!
Taż win źwiria zmihł takoho,
Szo choć żyju lit wże mnoho,
Szem ne wydił! — Panyczeńku,
Tož wam myło na serdeńku!“
Ojciec jeno nic nie gada,
Twarz w udany mars układa.
„Wiem ja dobrze, o co chodzi,
Lecz pigułkę — dzik osłodzi!...
Słuchaj Werku, oczajduszo!
Twe trofea mnie nie wzruszą,
Mowa była o rogaczu,
Nie o dziku — ty smarkaczu!
Widzę, panicz mój uparty
Kulką nabił! Z ojcem żarty?...
Dobrze! Za tę awanturę —
Szepnie z cicha — weźmiesz w skórę!...
Lecz żeś gracko sprawił dzika,
Niechże asan się nałyka
Sławy. — Skinął — Burłak skoczy,
Juchą lica mi sposoczy,
Potem z całą mnie paradą
Wprost na trupa pięknie kładą,
Rodzic mnie zaś ściągnął sforą,
Że aż zgiąłem się we czworo.
Chrzest to wszem myśliwym znany.
Wstałem „łowcem“ pasowany!
Poczem na *memento mori*
Dzikom zadął w róg Hrehory.

— — — — — — — — —

Dzień to był tryumfatora!
Wnet się służba zbiegła z dwora,
By odyńca wziąć na mary...
Olbrzym był to: „smolak“ stary!
Niewidziana sztuka taka!
Tož słyszałem z ust Burłaka
I podziwy i zachwyty:
„Sej panycz ne samowyty.“ — — —
Więc na dziku tym do domu,
Jak wódz jaki, co z pogromu
Wraca, tłumów witan szmerem,
Tak jam wracał bohaterem!

* * *

Lecz co w domu, zgadnąć snadnie —
Niech zasłona na to spadnie!
Ja objaśnię kilku słowy:
Ojciec mój, oh, był surowy,
I nie cofał nigdy słowa;
Ergo sztuka trzyaktowa
Odegrana i skończona!...
Ale po cóż tu zasłona?
Precz ze wstydem; wszak przed laty
Tradycyjne kwitły baty!...
Skorom powstał już z kobierca,
I w pokorze mego serca
Całowałem dłoń nie mściwą,
Lecz ojcowską, sprawiedliwą,
Wtedy ojciec na osłodę
Wziąwszy czule mnie pod brodę,
Rzecze: „*Satis.* Teraz synu,
Wplećże sobie do wawrzynu
Dziadka Twego dubeltówkę,
Arcydzielną dziwirówkę;
Daję chętnie, bo już widzę,
Że się ciebie nie powstydzę;
Strzelasz pewnie i misternie,
Niechajże ci służy wiernie!“

* * *

W takiej to ja byłem szkole,
Karcąc butną samowolę,
Hartowano serce młode,
Czyn zaś śmiały brał nagrodę.

We Lwowie, 20. Czerwca 1884.

Seweryn Krogulski.

RAK.

PRZEZ

Leopolda Weigla.

Chcę mówić nie o tym raku, który jest panującym znakiem niebieskim z końcem Czerwca do końca Lipca, ani o tym raku, który staje się niekiedy przyczyną uporczywych u ludzi słabości, ani zresztą o tym, który niejeden młodzieniec lub dziewica rumieniejąc się niechcąco spiecze, ale chcę mówić o raku, który zamieszkuje nasze wody i wraz z rybą w niektórych okolicach znaczny może dochód przynieść mieszkańcom nadbrzeżnym.

To też w okolicach jak na Pojezierzu, Pińszczyznie, Litwie, Rusi, Puszczy Mazowieckiej i indziej, każdy rybak trudniący się połowem ryb, łowi też i raki, które stanowiły od najdawniejszych czasów smaczne jadło na pańskich stołach tak indziej jak i u nas, a na dowód czytamy w „Panu Tadeuszu“:

Po chłodniku szły r a k i, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów węgrzyna, malagi.

W naszych wodach słodkich jak i w całej Europie środkowej żyje jeden tylko gatunek raka, t. j. rak rzeczny *(Astacus fluviatilis)*, chociaż liczne znajdujemy jego odmiany, mianowicie pod względem ubarwienia, kształtu ciała, nożyc i t. p. Tak są n. p. u jednych tylko składy nóg, u innych zaś całe nogi niebieskawe lub czerwonawe, a w jeziorze Genf trafiają się często znowu całkiem czerwone raki, jakby były ugotowane. Doświadczenia wykazały także, że z ikry tych raków czerwonych wylęgają się młode, mające ubarwienie ciemno-oliwkowo-zielone, chociaż czasem niektóre zatrzymują kolor czerwonych matek.

Znawcy a więcej smakosze raków rozróżniają dwie główne odmiany, mianowicie raka błotnistego czyli szlachetnego, z czerwonawemi odnóżami, grubemi, mało rozwidlonemi nożycami i z ciałem smuklejszem, ciemno zielonawo-brunatnem, i raka rzecznego z odnóżami kończystemi, ze skorupą na grzbiecie blado-zieloną i przebywającego w czystych, bystrych wodach z dnem piaszczystem lub kamienistem.

Odmiany te są zawarunkowane odmiennem tylko otoczeniem i pokarmem. Kiedy bowiem rak znajduje się w miejscu odpowiednem dla swego istnienia i rozwoju, wtedy wyrasta on należycie i dochodzi do 120, a czasem do 400 gramów wagi, przyczem odznacza się doborowym smakiem — to rak żyjący w niekorzystnych warunkach, jak n. p. w wodach bystrych z dnem kamienistem, jest daleko mniejszy, dochodzi najwięcej do 70 gramów wagi, jest mniej smaczny do jedzenia i dlatego używa się go więcej tylko do sosów i zup rakowych.

Jedząc raka lub trzymając go żywego w wodzie, możemy łatwo przypatrzyć się jego częściom ciała, które niejednemu smakoszowi wcale nieznane, a przecież są dość ciekawe. Ciało jego podłużne, złożone z 20 różnorakich obrączek, tworzy dwa oddzielne ciała, z których przednia obejmująca 13 obrączek pokryta jest twardą, wapnistą skorupą, a u spodu z 5 parami nóg. Pod skorupą po bokach posiada rak skrzele, któremi oddecha i do których woda dostaje się osobnymi otworkami. Głowa jego ku przodowi zeszczuplona z dwiema parami rożków, przy których nasadzie są wydrążenia z nitką nerwową, służące za zmysł węchu i słuchu. Po obu bokach kolca czołowego znajduje się para czarnych ócz siatkowych, osadzonych na ruchomych słupkach. Pyszczek składa się z 2 warg, 3 par szczęk żujących i 3 par szczękonożów z głaszczkami, służącemi do ujmowania pokarmu i do jedzenia. Druga część ciała, zakałdunie, zwane pospolicie także szyjką, składa się z 7 obrączek, z 5 parami małych nóżek u spodu. Ostatnia obrączka ogona zakończona jest 5 płetewkami, któremi rak wstecz pływa.

Samicę od samca łatwo odróżnić po szerokim, płaskim kałdunie, który u samca jest okrąglejszy i smuklejszy.

Rak siedzi przez dzień w dziurach brzegów wód, najmilej w miejscach wierzbą i innemi drzewami ocienionych, nocą zaś żeruje, żywiąc się zarówno zwierzętami żywemi, jak ślimakami wodnymi, robakami, młodemi żabami, lub też nieżywemi zwierzętami, czyszcząc w ten sposób wody, niby policya zdrowia, od wszelkiej padliny. Samice znoszą 200—300 jaj i noszą na nóżkach zakałdunia ze sobą dopóty, aż się wylęgną młode raczęta. Carbonier wykazał, że można ikrę raczą sztucznie zapładniać podobnie jak rybią, tylko że czynność ta jest u raka daleko trudniejszą. Doświadczenia w tym względzie na rakach morskich wykazały, że głównym warunkiem do prawidłowego rozwoju ikry jest stały i silny prąd wody, któryby ją ciągle oblewał. Gdy się oddzieli ikrę od zakałdunia, to takowa łatwo ginie i psuje się, chociaż Carbonierowi powiodło się ikrę raka rzecznego doprowadzić w bystrej wodzie do zupełnego rozwoju. Zauważać należy, że przez czas wylęgu, który trwa kilka miesiecy, t. j. od jesieni do połowy Maja, ginie bardzo wiele ikry mimo troskliwości matki. Jedne bowiem odpadają z nóżek i psują się, inne pożerają chciwie nieprzyjaciele, jak pluskwy wodne, gąsienice pływaków, żaby i inne. A gdy z całego płodu 100 jaj się wylęgnie, to wynik można nazwać jeszcze bardzo szczęśliwym.

Ikra racza jest od połowy Kwietnia prawie czarnego koloru, później czerwienieje, a przed samem wylęgnięciem żółknieje i wtedy widać zarodek już wolnem okiem przez łupinę jaja. Młode wylęgłe podobne do starych mają do 15 mm. długości, są barwy szarawej, pływają chyżo, a w niebezpieczeństwie tulą się do matki. Żywią się one drobniejszymi gatunkami raków, jak grzępikami *(Cypris)* i rozwietlikami *(Daphnia)*, oraz drobnymi robaczkami i gąsieniczkami. Lenią się one do zimy 2—3 razy, a wylinę dającą materyał na nową skorupę natychmiast pożerają. Przed zimą są już do 35 mm. długie. Później leni się rak tylko raz na rok i to w drugiej połowie czerwca lub w lipcu. Wówczas stara skorupa odstaje zwolna od nowej, wreszcie pęka na grzbiecie, a rak po kilku rzutach wysuwa się jakby z rękawicy z nową skorupą, która jest zrazu miękką i bladą. Z tej też przyczyny wyleniony rak będąc narażony na łatwe pożarcie, siedzi w kryjówce tak długo, dopóki skorupa należycie nie stwardnieje i nie ściemnieje. Podczas wylęgu wiele też raków wysuwając się z wyliny traci członki, jak rożki i nogi, które mu napowrót odrastają. W tym też czasie znajdujemy wewnątrz dwa białe półkuliste kamyki wapienne, zwane powszechnie raczemi oczami, stanowiące materyał na przyszłą skorupę. Po wylenieniu staje się rak daleko większym, a będąc przez długi czas wygłodniałym, żeruje od zachodu słońca do północy. Zabawnem jest widzieć raka pożerającego swą zdobycz. Jak on przy tem chodzi powoli i to chętniej w tył niż naprzód, zwykle z podniesionemi nożycami, aby się miał na pogotowiu do uchwycenia łupu lub do obrony przed napaścią. A gdy pochwyci zdobycz, jak śmiesznie prowadzi ją nożycami do pyszczka i pożera, przyczem śledzi jak Argus ciekawie w około siebie za nową ofiarą. Czasem znowu pływa rączo, ale tylko rzutami i zawsze wstecz, a nie naprzód, przyczem bije silnie pod siebie zakałduniem. Słuch i węch, mianowicie ostatni, mają dość rozwinięty. Mimo swej żarłoczności rosną raki powoli, a mnożą się dopiero w 5tym lub 6tym roku. Carbonier podaje następującą tabelę (według swych spostrzeżeń), tyczącą się ich wzrostu ciała:

W	1. miesiącu	ważyły	0·15	gr.
„	1. roku	„	1·5	„
„	2. „	„	4·0	„
„	3. „	„	10·0	„
„	4. „	,	16·0	„
„	5. „	„	22·0	„
„	6. „	„	25·0	„
„	7. „	„	30·0	„
„	8. „	„	36·0	„
„	9. „	„	43·0	„
„	10. „	„	50·0	„
„	15. „	„	75·0	„
„	20. „	„	100—120	gr.

Raki przynoszone na targ winne ważyć 45—55 gr., a więc mieć 10—12 lat. Raki przywożone przed kilkunastu laty z Niemiec do Paryża ważyły niekiedy do 100 gr., musiały więc mieć przeszło lat 20. Najwięcej napotyka się na targach samców (gdzie chów i sprzedaż raków są uregulowane).

Największym nieprzyjacielem raków jest wydra, chociaż także kaczki, żórawie, bociany lub ryby drapieżne, a szczególnie węgorze mnóstwo ich pożerają, mianowicie gdy są małe i gdy skorupa ich miękka. Także liczne robaki, zamieszkujące ich wnętrze, stają się przyczyną ich śmierci. Zważywszy wreszcie, ile ginie jeszcze raków w czasie lenienia się i ile ich wymiera w skutek rozmaitych odpadków zanieczyszczających wody, łatwo pojąć, dlaczego ilość tych zwierząt zmniejszać się musi, a jeżeli do tego przy ich połowie nie szanuje się samic, lecz wyławia się je i to z ikrą, pojmiemy też przyczynę nagłego ubytku raków, mianowicie dorosłych.

Carbonier podaje, że sam Paryż spożywa rocznie raków za 400.000 franków. Dlatego też wyłowiono raki najpierw w okolicy Paryża, potem z całej Francyi, a w r. 1853 sprowadzono pierwszy raz raki z Hollandyi i obu brzegów Renu. A gdy i te okolice wyniszczono z raków, sprowadzono je w roku 1868 pierwszy raz ze Szląska pruskiego i z Poznańskiego. W 15 więc latach wyłowiono dla Paryża tyle raków z Niemiec, że stąd już znaczniejszej i regularnej przysyłki spodziewać się nie było można.

U nas jeszcze raki są miejscami, ale wraz z rybami wyławiają bezkarnie i raki, i to bez względu czy takowe są młode czy stare, czy samce czy samice z ikrą Kiedy do niedawna n. p. w Galicyi w okolicy Lubienia w rzeczce Wereszycy mnóstwo wyławiano raków i za 20 centów można było niekiedy dostać kopę raków i więcej, dziś są one już tam rzadsze, a więc i droższe, a we Lwowie większe okazy płacą się nawet po 2—4 centów za sztukę. Gdyby wraz z rybołowstwem prowadzono też chów tych zwierząt regularnie, a oraz przy łowieniu szanowano samice z ikrą, mielibyśmy jeszcze raków podostatkiem, a nawet mogłyby stanowić znaczny artykuł wywozowy. Gdyby powstał u nas zakład sztucznego chowu ryb choćby małym nakładem, należałoby wówczas pomyśleć tam o chowie raków, aby można obdarzać ikrą raczą chętnych gospodarzy, mieszkających nad wodami, i nakłonić ich do chowu zwierząt, mogących pomnożyć ich dochód.

Połów raków odbywają albo ręką, wyciągając je dniem z dziur brzegów, lub też nocą przy ogniu czerpakiem albo siecią.

Raki dadzą się utrzymać dłuższy czas, t. j. 8—14 dni na lądzie, i dlatego właśnie są zdolne do wywozu. Wówczas trzyma się je w zimnej piwnicy, osuszone z wody i pokrzywą przykryte w koszu lub sieci. Gdy chcemy je dłużej utrzymać przy życiu, daje się je do kosza i wkłada się do wody płynącej tak, aby takowa przez ściany przepływała, baczyć jednak należy na to, aby woda nie zawierała dużo namułu, gdyż wtedy osadzony na rakach namuł przyprawiłby je o życie. Raki wytrzymują głód przez kilka tygodni, a trzymane trochę w piwnicy są nawet smaczniejsze aniżeli wprost wyjęte z wody.

Rozsyłka raków odbywa się latem w koszach wyścielonych suchą słomą, zimą zaś pakuje się je w skrzynie i wyściela takowe słomą, by nie zamarzły, gdyż przez zamarznięcie wody w skrzelach wszystkieby poginęły. Głównym warunkiem przy wysyłkach jest, aby raki pakowano suche i dlatego przed pakowaniem należy osuszyć nieco z wody na słońcu, a potem jeszcze szmatką starannie obetrzyć, gdyż w przeciwnym razie przez wilgoć słomy lub przez wilgoć znajdującą się na rakach wywiązuje się gorąco, które zwierzęta w krótkim zabija czasie. Pomimo starannego pakowania, w przysyłkach z Wrocławia lub Berlina do Paryża liczono 10% straty, powstałej przez uduszenie lub zgniecenie. W roku 1868 sprzedano w halach Paryża 38.556 koszów raków za 400.125 fr. 25 ctm. A ponieważ każdy kosz zawierał 150 - 180 raków po 76 centimów, przeto przeciętna cena za raka wynosiła 6 centimów. Cena jednak jest zmienną — latem spada, zimą zaś jest większą i z każdym rokiem wzrasta. Pomimo że mówi niemieckie przysłowie, iż ostryga jé się w miesiącach, które mają w swej nazwie literę *r:* September, October, November, Dezember, Jänner, Februar, März, April, a rak jest najsmaczniejszy w miesiącach, które nie mają *r*, a zatem Mai—August, to przecież zawsze o każdym czasie należy rak do przysmaków i z tego powodu ze wzmagającą się potrzebą wzrasta też ich wartość.

Chów raków udaje się na takich miejscach, gdzie wody mają dno muliste, a brzegi są gliniaste lub torfiaste i ocienione zaroślami. Gdyby koryto wody nie było odpowiedniem do chowu raków, wtedy należy bądź wyścielić brzegi kamieniami, bądź też na środku ułożyć z kamieni wysepkę, gdzie między kamieniami miałyby raki swe schronienia. Żer stanowią drobne płocice, ścierwo i rozmaite wyżwymieniane zwierzęta. O sztucznem zapłodnieniu i chowie ikry raczej nie ma mowy, a tylko chów już wylęgłych raków i ich karmienie w zamkniętych miejscach ma jedynie podstawę realną.

Raka trzymać można albo w potokach albo w stawkach o dnie mulistem, które dzieli się na części czyli sekcye poprzegradzane płotem lub siatką. W każdy taki oddział daje się na rozpłodzenie raki 5—7-letnie, ważące 30—30 gr. Zwykle liczy się 60—80 sztuk na 1 meter kw. powierzchni wody. Najstosowniejszy czas do tej czynności jest Marzec i Kwiecień, kiedy mrozów nie należy się już obawiać. W tym bowiem czasie noszą samice ikrę pod zakałduniem. Na 6 samic wkłada się 4 samce. Mając już w jednym roku młody płód w jednym oddziale, czyni się to w roku następnym w oddziale drugim, potem w roku trzecim zapełnia się oddział trzeci i tak się postępuje, aż się zapełni 10—12 oddziałów. Wtedy podobnie jak las podzielony na sekcye wyrębuje się co roku sekcyami, tak też czyni się z oddziałami, w których zapuszczono raki. Za przykład może nam posłużyć wielki zakład do chowu raków, założony przez markiza de Sélve w Villiers w roku 1865. Zakład ten rozwijał się wzorowo i pięknie do roku 1870, ale wojna prusko-francuska położyła koniec temu przedsiębiorstwu, które już częściowo w roku 1868 zaczęło się rentować. Nieprzyjaciel bowiem obsadziwszy te miejsca powyjmował szluzy, pospuszczał wodę, a dziś w okolicy wszędzie mnóstwo znajduje się raków, co naturalnie tylko jakiś czas potrwa. Także zakład obecnie istniejący w Clairefontaine zasługuje na wzmiankę, a z naszej strony na naśladowanie.

Strzały i Strzelcy.

przez

Ernesta Bellecroix.

(La chasse illustrée 1883 tł. J. Ł.)

(Dokończenie).

Pod względem oszczędzania zwierzyny jest rzeczą naturalną, że nasuwa się pewny uszczerbek w pochwałach, składanych myśliwym zręcznym, ale nieco za gorącym, których nieraz widzieliśmy działających na polu swych popisów. Zaprawdę dochodzą oni do rezultatów, których inni nie zdołają osiągnąć, ale, jak to wykazałem, piękny ten medal ma też swoją odwrotną stronę, jak wszystko na tym świecie.

Zwróćmy teraz uwagę na kalibry broni, pewną bowiem jest rzeczą, przynajmniej w moich oczach, że kaliber, jakiego myśliwy używa, znaczny wpływ wywiera na otrzymane

rezultaty. W zasadzie zgadzam się z tymi, którzy na polowaniu, jak w grze, używają największej liczby atutów. To też cokolwiek mówią zwolennicy, w nowszych czasach rozpowszechnieni, małych kalibrów, nie da się wcale obronić teza, iż oni mogą z korzyścią współzawodniczyć z używającymi wielkich kalibrów. Bądź co bądź, dwa tu są pewne względy, naprzód, że wielkie kalibry pozyskują z każdym dniem więcej wziętości, tak, iż nawet kaliber klasyczny 16 ustępuje powoli miejsca kalibrowi 12; następnie, że wszyscy myśliwi, używający kalibrów 12 lub 10, nie powracają już do 16. Nie mam zamiaru zagłębiać się w wyjaśnienia teoretyczne, któreby wykazały dosadnie coraz wzrastającą przewagę, jaką widzą myśliwi w broni przyjmującej wielki nabój śrótu, z której tyle żartowano; wystarczy nadmienić, bez obawy opozycyi, że nabój zawierający w sobie 400 ziarn śrótu więcej daje myśliwemu pomyślnego rezultatu, jak nabój o 200 ziarnach. Poczem, jeśli wasza wola, będziemy kiedyś mówić o donioslości i sile strzału. Lecz gdyby nawet nie było powyższej korzyści, jakżeż nie uznać tej przewagi, jaką posiada np. kaliber 12 od wielu lat? Spotka mnie wprawdzie zarzut, że broń taka niegodną jest prawdziwego myśliwego, że należy zwierzynie dać jakąś możność ocalenia się, iż zwierzyna wyginęłaby do nogi, gdyby wszyscy używali broni wielkiego kalibru. Są to wszakże według mego zdania zarzuty małego znaczenia. A zresztą zapytam: Czyż bardzo pewni jesteście, że owe wielkie kalibry są tak niezawodnie morderczymi? Jeden z lepszych myśliwych jakich znam, przytem bardzo skromny, jakkolwiek wyborny strzelec, który od wielu lat używa wielkich kalibrów, mówił nam pewnego dnia przy obiedzie po dwóch czy trzech dniach polowania, jakie dla nas łaskawie urządził, iż myśliwy, którego trzecia część strzałów jest śmiertelną, należy do wybornych, i że nigdy nie znał nikogo, któryby zliczywszy wszystkie swoje strzały roczne, większą ich połową ubijał zwierzynę. Małżonka tego szanownego myśliwego, towarzysząca mu często w wyprawach łowieckich, a która zawsze żywo się zajmowała rezultatami tychże, odrzekła mu: „Ależ mój kochany, ty sam lepiej strzelasz.“ On zaś odpowiedział: „Nie!“ A jednak w ciągu tych dwu dni byłem naocznym świadkiem, jak na 40 strzałów zaledwo kilka razy chybił, a zresztą zręczność jego była powszechnie znaną. Tak o samym sobie twierdząc, był tylko szczerym, liczył on bowiem nietylko strzały szczęśliwe i pewne, ale też niefortunne, hazardowne i dublowane, wysyłane na wielką odległość i t. p. Najzręczniejsi strzelcy powinni uwzględniać ów dodatek, a nie czynią oni tego. Ja sam przed piętnastu laty polowałem często w polu, nie hazardowałem w strzałach, miałem tę próżność, iż rzadko chybię kuropatwę lub zająca, i w istocie wyjątkowo chybiałem. Ale też nigdy lub prawie nigdy nie ryzykowałem strzału, strzelałem tylko do zwierzyny dobrze na strzał wystawionej, a było jej wiele, można więc było wybierać nie szedłem nigdy do remizy z jednem stadkiem kuropatw, wszędzie ich było pełno. Ileż to sztuk przepuściłem z tych, do których mogłem wygodnie strzelać, a jednak przepuszczałem, nie składając się nawet do nich. Zaprawdę tak strzelając, można więcej jak połowę ubić. To nie dowodzi, iż ktoś jest dobrym strzelcem, lecz raczej, że umie nad sobą panować. Odtąd zmieniłem ową metodę, a jeżeli czytelniku posiadasz również tę wadę, radzę ci popraw się. Zaręczam uroczyście, iż wcale nie mam pretensyi występować z nauką, a dowodem tego jest szczere moje wyznanie, iż tak wówczas jakoteż obecnie moja miłość własna dosyć małym cieszy się skutkiem, lepszy osiągnął mój pomocnik, wielki kaliber.

Miałem lat trzy, gdy dziadek mój obdarzył mnie pierwszą strzelbą. Naturalnie używałem jej dopiero później. Była to mała strzelbina, pojedynka, kalibru 28, którą mordowałem bezlitośnie małe ptaszki. Pierwsza moja strzelba poważna była kalibru 16, używałem jej zaledwo w połowie jednej pory łowieckiej i pospieszyłem zamienić ją na kaliber 12. Odtąd jeszcze krok postąpiłem naprzód i nie ręczę, czy na nim pozostanę. Oto, jak sądzę, wyznanie prawdziwie szczere. Według mego zdania, wielkie kalibry nietylko przy zwierzynie na rozległych wodach, na morzu, odnoszą widoczną korzyść, owszem wszędzie i zawsze, w polu, w lesie, na błotach, na kuropatwy, słonki, czy na grubą zwierzynę. Jak najwięcej prochu, a zwłaszcza ołowiu, oto prawdziwy pożytek. Przy wielkim kalibrze, nabitym drobnym śrótem, będziesz miał promień szerszy i gęstszy w równej odległości, a nie wchodząc w szczegóły liczby i wagi, przypuść, że mógłbym włożyć do naboju kalibru 12 tyle ziarn ołowiu nr. 5, ileby przyjął kaliber 16 nru. 6, to kaliber 12 będzie miał nad kalibrem 16 przewagę większej intenzywności. Rozważ, proszę, żem nigdy nie liczył owych ziarn śrótu i że nie mam innej pretensyi, jak tylko logicznego rozumowania.

A teraz, jeżeli cię czytelniku ta rzecz zajmuje, powiem ci, że wszyscy znakomici strzelcy, jakich kiedykolwiek spotykam, używają wielkich kalibrów, z których 12 jest najniższym. Wiem, że można mi zacytować wyjątki, a ty sam czytelniku przpomnisz mi np. markiza d'I., który zawsze używał tylko kalibru 24 strzelby pierwszorzędnej, a bił zwierzynę z znacznej odległości; ja nie zaprzeczam temu, owszem podziwiam go. Na tym ziemskim padole każdy czyni co może; nie wchodząc w szczegóły, wskazałem otwarcie niektóre względy, dla których daję przewagę wielkim kalibrom. Ci znakomici strzelcy, o których wspominałem, starają się mieć ładunki odrębnie nabijane, wychodząc na łowy. Jeżeli idzie o króliki, to w celu osiągnienia dobrego rezultatu rzadko kiedy używają innego śrótu jak nru. 7 i dają względnie mało prochu, aby strzał był gęsty i dostatecznie szeroki na niewielką odległość. Przeciwnie gdy idzie o zwierzynę twardszą, mającą być strzelaną z dalszej odległości, ujrzycie ich zwiększających miarę prochu, używających przybitki silnej do choke-bore lub naboju Davousta. Nie inaczej ja też robię, a nawet co do śrotu, wyznaję, iż zawsze miałem pociąg do przesadzania jego ilości, nie do uwierzenia, jak śrót nr. 8 razi gromem bażanta z odległości czterdziestu kroków. Grubym śrótem z pewnej odległości bije się trafioną zwierzynę na miejscu, ale nie zawsze śrót idzie tam, gdzie się mierzy, a gdy zwierzę trafione jednem lub dwoma ziarnami w miejscu nieodpowiedniem, to idzie dalej i pada daleko. Śrótem słabszego numeru, ale jeszcze dostatecznie rażącym, dostaje zwierzyna zamiast trzech lub czterech ziarn, dwanaście lub więcej, i więcej jest prawdopodobieństwa, że które z nich dosięgnie organów żywotnych. Nie wspominajcie mi o sztukach, zabitych jednem ziarnem z oddalenia działowego, bo z takiej odległości najlepiej wcale nie strzelać. Ta sprawa cienkiego lub grubego śrótu jest nieustannie sporną, to się rozumie. W łowach na drobną zwierzynę, przy nagonkach, w których się strzela bażanty, króliki, zające i niekiedy kilka rogaczów, pożytecznym jest, według mego zdania, śrót mniejszy, nru. 8 i 6, lub 7 i 5, często bije się nim na miejscu rogacza tak jak zająca. Jeżeli zaś poluje się na rogacze z psami gończymi, nr. 5 byłby za słaby, ponieważ nrem 2 lub 0 można z wielkiej odległości złamać jakić członek ciała zwierzęcia, które psy prędzej lub później dościgną. Inaczej się rzecz ma przy obławie, gdzie trzeba

zwierzę położyć na miejscu lub w oddaleniu, dozwalającem je znaleść. Otóż ponieważ sam zabiłem i nieraz widziałem wiele zabitych rogaczy, uważam za rzecz pewną, że padnie on częściej ze strzału śrótem drobniejszym jak grubym. Zarzucicie mi, iż to zależy od miejsca, w które został trafiony. Zgadzam się z wami, ale może mi też przyznacie, że na 20 ziarn śrótu nr. 5, które, jak przypuszczam, dosięgną rogacza na 35 metrów, więcej jest prawdopodobieństwa, że kilka z nich utkwi w dobrem miejscu, jak gdy zwierzę trafione będzie tylko 4 lub 5 ziarnami nru. 2 albo 0. Mniemanie to stwierdziły już mnogie fakta i nie doszedłbym do końca, gdybym je chciał wszystkie zacytować, a zresztą moglibyśmy się nawzajem nie rozumieć, bo niezawodnie wymienilibyście mi wypadki zupełnie prawdziwe, któreby świadczyły o przewadze grubego śrótu. A więc trzymajmy się swego przekonania.

Może się mylę, ale zdaje mi się, że moi korespondenci znajdą w tej gawędce niejakie wyjaśnienia tego, o co mnie zapytywali. Upraszam ich jednak o zwrócenie na to uwagi, iż nie występowałem wcale w obronie jakiegokolwiek systemu i że zamknięcie tej rozprawy dałoby się ująć w jedno słowo, które umieściłem na czele tego artykułu: Strzał jest rzeczą temperamentu i przyzwyczajenia. Największa szybkość np. dająca powodzenie naszemu towarzyszowi, nam go nie da, przeciwnie gdyby ów szybko składający się myśliwy był zmuszony zmienić system, składać się chłodno, jak my to czynimy, gdyby musiał prowadzić zwierzynę, to jest prawie rzeczą niezawodną, że nie bardzo by mu się to udało. Przed kilku dniami pewien wyborny strzelec przy obławach, przy którym stałem, chybił zająca, a mógł go był łatwo ubić. „Szedł mi za wolno“ — rzekł do mnie. W istocie ów sąsiad mój strzelił dwa razy z zwykłą sobie szybkością, a gdy w chwili składania się zając zwolnił kroku, dwa strzały padły przed nim. Będzie się to zdawać niektórym z naszych czytelników rzeczą niezwykłą, a może będziecie uważać za wcale nie tęgiego tego myśliwego, któregom wam przedstawił jako niepospolicie zręcznego. Gdybyście byli na mojem miejscu, to sąsiad mój byłby wam rychło okazał, jak przedwczesny sąd jest często mylnym, i musielibyście podziwiać tak jak ja, z jaką zręcznością tenże myśliwy bił trzy czwarte królików, które nań wychodziły lub przemykały przed nim jak strzała.

Wszystko com wyrzekł, odnosi się naturalnie jedynie do strzałów, nie mówię tu o polowaniu i myśliwych, lecz jedynie o strzelcach, i podobno nie bardzo się mylę twierdząc, że większa część, zaprawdę nie wszyscy, większa tylko część tych strzelców wytrawnych daleką jest od posiadania przymiotów, cechujących prawdziwego myśliwego. Ostatecznie nie sądzę, iżby oni pozostawieni samym sobie na nieznanej przestrzeni, osiągnęli takie rezultaty, jakie osiągnie praktyczny myśliwy, przywykły od dawna szukać swojej zwierzyny. Tymczasem ci panowie, którzy nie oddają straży łowieckiej starania o dostarczenie zwierzyny, ci niezawodnie lepiej się na tem rozumieją, jak ów, który nigdy o niczem innem nie myślał, jak tylko o nabywaniu mnóstwa wiadomości, dotyczących tępienia zwierząt szkodliwych, pielęgnowania i zapełnienia zwierzyną swych knieі. Umieją oni wybornie urządzać polowania i obchodzić się ze zwierzyną, obławę prowadzą znakomicie, co mówiąc mimochodem nie jest rzeczą łatwą, nawet gdy idzie o biednego królika. Jednem słowem wiedzą o polowaniu wszystko, co wiedzieć powinni, a ostatecznie mylnem byłoby mniemanie, przynajmniej wobec pewnej ich liczby, gdyby oni byli uważani jako prości amatorowie, nie mający innej zasługi jak tylko celnego strzelania. Nie możecie sprawiedliwie wymagać, by tracił czas na szukaniu zająca w polu, wymagać od niego, który przywykł polować prawie wyłącznie tylko z obławą od czasu otwarcia pory łowieckiej. Dobrze wam mówić, iż dałoby mu to sposobność okazania swych przymiotów łowieckich, znajomości zwyczajów zwierzyny, udowodnienia, iż tak jak wy, zna on dobrze wszystkie kotliny zajęcze, kierunek wiatru odpowiedni i porę, nie moglibyście go złudzić, a co do mnie, przyznaję, iż raczej tę twardą pracę pozostawićby należało tym, którzy nic lepszego nie mają do czynienia. Ale w tym świecie wszystko jest względne, ja też nikogo nie ganię. Komu sprawia prawdziwą przyjemność ubicie biednego zajączka, którego szukał w tem miejscu przez ośm godzin, niech się raduje swoim tryumfem, który łatwo da się pojąć, a ja podziwiam jego pracę i cierpliwość. Proszę go jednak, by nie lekceważył owych strzelców, których miałem zaszczyt mu przedstawić, którzy również posiadają świetne przymioty, lubo wprost przeciwne tym, jakimi on się chlubi.

W zebraniach łowieckich okolicy Paryża, w ich polowaniach z obławą, z takiem lekceważeniem potępianych przez purytanów naszego bractwa, jest wiele uroku, którego nie znają potępiający. Można śmiało twierdzić, iż wszędzie, z wyjątkiem chyba towarzystw akcyjnych, którym niejedno możnaby zarzucić, wszędzie, lub prawie wszędzie, znajdziemy wzorową uprzejmość, myśliwi zachowują nawzajem wszelkie dla siebie względy, nigdy tam nie usłyszycie swarów, których przedmiotem spór o ubitego zająca lub bażanta. Tytuł gościa wystarcza do otoczenia go wszelkimi względami, otrzyma on najlepsze stanowisko, częstokroć sam gospodarz wiedzie na miejsce przeznaczone, gdzie nim go opuści, zwraca jego uwagę na rodzaj zwierzyny, z którą niezawodnie tu się spotka, na miejsce, którem prawdopodobnie wyjdzie, i t. d., i t. d., na wszystko, cokolwiek może się przyczynić do osiągnienia pożądanego skutku. Mógłbym nawet wymienić niektórych właścicieli łowów, którzy swoją uprzejmość posuwają tak daleko, iż nie strzelają jedynie w celu przysporzenia przyjemności swym gościom. Im więcej oni ubiją, im większe objawiają zadowolenie, tem bardziej uradowani są gospodarze. Ale nie na tem kończy się ich uprzejmość, obsypią cię wszelkiemi grzecznościami, obdarzą pełnym koszem zwierzyny, która przecież dla każdego z nas nie jest obojętną.

Co do polowań związanych w Towarzystwa, wiele brakuje, iżby się działo również pięknie. Wiele traci się czasu na rozdzielaniu zwierzyny, przebierając lub bez wyboru, a w takim razie towarzysze wcale nie objawiają obojętności w rywalizacyi, owszem wolne zostawiają pole swej ambicyi rażącej, a nawet groźnej, iż niejeden myśliwy dobrze wychowany wobec tej przykrości woli się usunąć z tych świetnych polowań. Gdy się zwierzynę rozdziela, wyciągając losy, to te nieszczęsne ambicye nie mają pola do okazania się. Los szczęśliwie wyciągnięty daje wprawdzie jeszcze powód do zawiści, ale w wielu skromniejszych towarzystwach uważanoby za rzecz zdrożną zazdrościć tej małej przyjemności szczęśliwcom jednego dnia.

Przeciwnie w towarzystwach, w których zwierzyna należy do tego, który ją ubije, poruszają się żywo ambicye mimo najsurowszych regulaminów, mimo instrukcyi najdokładniejszej. Pozornie tylko myśliwi ulegają ogólnym przepisom, każdy pracuje dla siebie, gdzie nie są wprowadzone numera, losem wyciągane w celu zajęcia stanowisk, gorętsi pędzą jak szaleni do najlepszych, złośliwi co chwila wyskakują z linii myśliwych i zapuszczają się na małe wycieczki kłusownicze na szkodę ogólnego powodzenia. Możnaby sądzić, iż nie idzie tu o przyjemność, lecz raczej o ubieganie się za korzystną zdobyczą.

*

Tu już nie ma prawdziwych myśliwych — to tylko strzelacze, więc nie mówmy już więcej o nich.

Zamierzam wreszcie w celu dania odpowiedzi tym, którzy mnie w wielu kwestyach zapytywali, powrócić do owych zagadnień, stojących bardziej jak kiedykolwiek na porządku dziennym w chwili, w ktorej stowarzyszenia łowieckie mnożą się nieskończenie. Jeżeli chcecie, rozbierzemy wspólnie korzyści i niedogodności owych stowarzyszeń. Obecnie upraszam o zezwolenie pozostania na tym punkcie tem bardziej, iż założenie tej rozprawy miało jedyny cel mówienia o strzałach i strzelcach.

KORESPONDENCYE.

Z nad Sanu.

Czytałem kilkakrotnie wyrażony żal Redakcyi „Łowca“ iż z grona naszych myśliwych żaden głos się nie odezwał o Kalendarzu, który, jak Redakcya sądzi, ma obok pożytecznych zalet, wady i niedostatki, mogące być w następnym roku usunięte i uzupełnione. Słuszny ten żal świadczy o apatyi naszych zwolenników Diany, która zresztą nie w jednej, przez „Łowca“ podniesionej sprawie się objawiła. Dosyć przypomnieć, że delegaci Towarzystwa łowieckiego, mężowie wybrani, którym pewnie sprawa łowiectwa krajowego nie jest obojętną, dotąd nie nadsyłają sprawozdań z swoich powiatów, a wcale nie byłoby dziwnem, gdybyśmy w „Łowcu“ mieli stałą rubrykę czynności delegatów. Wobec takiej apatyi, najgorliwsze usiłowania Redakcyi nie mogą przynieść należytego pożytku, a treść Pisma naszego musi się w końcu stać jałową i monotonną Wprawdzie nie brak „Łowcowi“ licznych z rożnych stron kraju korespondencyi, ale one poruszają mniej więcej nieustannie jeden mniej ważny przedmiot, nie dotykając spraw żywotnych, kwestyi, które pod względem praktycznym i umiejętnym mają donioślejsze znaczenie. Przyzna mi każdy pilny czytelnik „Łowca“, iż pod tym względem nie małe w nim znajdują się próżnie. Znam wybornych myśliwych, ludzi myślących i światłych, którzyby, obudziwszy w sobie chęć popierania gorliwych usiłowań Wydziału Tow. łow. i Red. „Łowca“, mogli bez wysilenia wziąć w nich czynny udział, ale oni lekceważą sprawę łowiectwa krajowego, czytają chętnie „Łowca“ wymownie nieraz rozprawiają przeciw poglądom, w nim wyrażonym, zrywają się nawet do zamiaru określenia swoich badań i doświadczeń, a ostatecznie ostygają ich dobre chęci i kończy się na — milczeniu. Tu należy podnieść wielką zasługę hr. Kazimierza Wodzickiego, który przygnębiony wiekiem i upadającemi siłami fizycznemi, obarczony pracą około roli, opieką licznej rodziny, jednak w całym ciągu istnienia naszego Pisma zasila je owocem swych naukowych badań i praktycznych doświadczeń, jest zaprawdę głównym filarem jego. Niezmiernie ważny poruszył on przedmiot dotyczący rui sarn. Wywód to gruntowny i przekonywujący, a jednak w przesadzonej może skromności autor stanowczego nie stawia twierdzenia, owszem odwołuje się do badań kolegów myśliwych, i narzeka, że żaden z nich wobec powag naukowych niemieckich nie ośmiela się wystąpić z własnem zdaniem i przekonaniem. Niejednokrotnie zdarzyło mi się słyszeć głosy przeciwne teoryi postawionej przez hr. Wodzickiego, ale w „Łowcu“ nie znalazłem ani jednego. Rzecz dziwna! Wszak przyczyniłoby się to do wyjaśnienia sprawy, a i hr. Wodzicki byłby niezawodnie wdzięczny oponentom. A wieleż to jeszcze innych spraw ważnych, w „Łowcu“ poruszonych, dotąd czekają rozstrzygnienia jedynie z powodu apatyi, którą przecież dla ogólnego dobra przełamaćby należało. Zadowoleni jesteśmy z naszego Pisma, uznajemy jego wielką użyteczność, cenimy zasługi Redakcyi jego, cieszymy się uznaniem, jakie ona znajduje w publicystyce krajowej i pozakrajowej, możemy nawet być dumni, iż „Łowiec“ celuje czystością i poprawnością języka; starajmyż się przeto z zapałem wspierać jego usiłowania, zasilajmy go naszą wiedzą, naszemi badaniami, naszem doświadczeniem, iżby utrzymał się na tym poziomie, z którego go chyba nasza apatya do upadku strącić może. Wiele jeszcze o zaletach i niedostatkach „Łowca“ dałoby się powiedzieć, lecz postanowiliśmy właściwie mówić tylko o kalendarzu, zwróćmy się przeto do niego.

W 7. numerze „Łowca“ b. r. znalazłem ocenę kalendarza, ale ile mi się zdaje, nader niedostateczną, nie podniesiono w niej należycie całej jego wartości, nie wytknięto wad i ułomności, a zarzuty poczynione zdołała Redakcya w kilku słowach dosadnie odeprzeć. Recenzyę tę przyjmę jako podstawę do dalszego rozwinięcia rzeczy. Godzę się na orzeczenie pana C. K., iż zapiski dołączone do każdego miesiąca są jakoby najzwięźlejszą treścią historyi naturalnej, dodam jeszcze na ich pochwałę, iż bogatsze są treścią o wiele od podobnych zapisków w kalendarzach niemieckich, a odznaczają się pięknym i barwnym językiem, i mogą być często z przyjemnością i pożytkiem odczytywane. Dałoby się do nich nie jedno dodać, lecz to już jest rzecz względna i może za dalekoby zaprowadziła; to jedno jest pewne, że treść umieszczona jest bardzo wystarczająca. Sz. recenzent nie wspomniał wcale o terminologii, a jednak według mego przekonania, jest to najpożyteczniejsza karta w naszym kalendarzu. Kto rozważniej i niejednokrotnie tych kilka kart odczytał, przyzna, że każdy z tych ustępów ułożony jest umiejętnie i z pewną metodyczną ścisłością. Jeżeli sz. recenzent nazwał zapiski miesięczne treściwą historyą biograficzną naturalną ogólną, to terminologia jest takąż historyą zwierząt. Jest to szkielet złożony nader starannie, który prawdziwy myśliwy i doświadczony przyrodnik z łatwością ustroi w krew i ciało, są to wskazówki wyrażania się poprawnego w języku myśliwskim, a któryż z naszych myśliwych obejść się bez nich może? Uznaję mozolną pracę w tak systematycznym zestawieniu tego wyrazownictwa, i z prawdziwą wdzięcznością powinniśmy ją przyjąć. Szczególnie ustępy o jeleniu i kuropatwie zwłaszcza ostatni, ułożone są istotnie artystycznie i zupełnie wystarczająco. W ogóle możnaby ten dział bardzo rozszerzyć wyrazami prowincyonalnymi, ale dodatki te musiałyby stanowić osobny ustęp, którego dostarczyć powinni myśliwi z różnych części naszej ojczyzny. — Ustawę łowiecką Królestwa polskiego i W. K. Poznańskiego należałoby koniecznie umieścić choćby w streszczeniu, w głównych punktach, lub wreszcie wykazując różnicę między naszą a tamtemi. Nasz kalendarz myśliwski zmieni się nieco dopiero wtedy, gdy nasza Ustawa łowiecka dokładnie przejrzaną i zreformowaną będzie, czem na mocy uchwały Wydziału gal. Tow. łow. zajmują się hr. Tadeusz Dzieduszycki i Dr. E. Roiński. Dla dobra sprawy prosimy o pospiech w tej pracy. W całym kraju rozsiane są Towarzystwa myśliwskie, których celem wprowadzenie racyo-

nalnego łowiectwa i rugowanie nadużyć i bezprawia. Z radością witamy każde nowo zawiązujące sie bo przez nie szerzy się dobro powszechne. Z zdziwieniem czytaliśmy ściśle, w stałe liczby ujęty zwierzostan w dzierżawach Towarzystwa myśliwskiego miejskiego we Lwowie. Wzięlibyśmy za złe Redakcyi owe nieprawdopodobne cyfry, gdyby je nie oznaczył swojem nazwiskiem skarbnik Towarzystwa. W najtroskliwiej dozorowanych rewirach da się zwierzostan tylko w przybliżeniu obliczyć. Co do bibliografii są istotnie braki które sz. recenzent słusznie wytknął, te należy uzupełnić. Przyznać jednak trzeba, że nagromadzono dosyć bogaty materyał, który z każdym rokiem mnożyć się będzie. Dobrzeby było oznaczać cenę każdego dzieła. Dział rybacki daje dostateczną informacyę, a zmiany poda zapewne Dr. M Nowicki, prezes Towarzystwa rybackiego. Dział literacki w kalendarzu bardzo szczęśliwie złożony. „Chór strzelców“ A. Mickiewicza jest hymnem naszym i powinien być w ustach i pamięci każdego z myśliwych. Hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego praca „o kaczkach“ jest nader pożyteczna. Ułożył ją nasz znakomity badacz przyrody i twórca Muzeum przyrodniczego, nie dziw więc, iż ona jest prawdziwie umiejętną i treściwie ale dosadnie naszkicowaną, służyć ona ma w praktyce do gatunkowania ubitych kaczek. Dołączony ustęp o polowaniu na kaczki jest nieco słabszym, i możnaby go znacznie rozszerzyć. „Polowanie na słomki“. Tomanka, jest istotnie, jak się szanowny recenzent wyraża, miłym obrazkiem, ale też niczem więcej. Co do działu informacyjnego tyle tylko powiedzieć możemy, iż nie wiele z niego ująć, mało mu też przydać wypadnie. Przyczynia się dział ten do starannego noszenia przy sobie kalendarza, który i we względzie pozamyśliwskim daje cenne wskazówki.

W tych kilku słowach skreśliliśmy znaczenie naszego kalendarza, mimo szczerej chęci wyszukania wad i błędów, w celu usunięcia ich w następnym roczniku, nie wiele znaleźliśmy, może kto więcej ich upatrzy, — ja szczerze rad mu jestem, i cieszę się, iż mamy wreszcie przewodnika, który istotnie na to miano zasługuje. *M.*

Nabrezzina nad morzem Adryatyckiem.

(Ustęp z listu). Stwórca przeklął tę naszą nadbrzeżną okolicę, istna to Sahara, niepiaszczysta, lecz skalista. Od Obszyny aż ku Tryestowi, dalej ku Nabrezzinie, Montfalcone Sta Croze, wzdłuż brzegów odnogi Adryatyku — wszędzie szczytne góry, bez ziarnka piasku, bez gródki urodzajnej ziemi, nagie skały wapienne, białe jak kreda, oświetlone promieniem słońca, rażą wzrok. Nagie, bez trawy i drzewa, gdzieniegdzie sterczy krzak sakłaku lub wonna wiśnia, z której tutejsi mieszkańcy wyrabiają cygarniczki, cybuchy, spinki do mankietów. Bieda tu ludziom, większa jeszcze rogatemu bydłu, którego z powodu braku paszy na jałowych górach nie wiele, więcej zato owiec dziwnych, bo bez wyjątku płci obdarzonych rogami na wzór kóz w górę się wznoszącymi Nie brak tu zwierzyny łownej, prócz w naszej wyklętej okolicy, przebywa ona w lasach rozlegających się w południowej stronie na pasmie stromych gór aż do Klagenfurtu, Villach i Lublany. Stoki północne tych gór nagie, lecz nie skaliste przylegają ku sławnym moczarom, wspominanym w dziejach staro- i nowożytnych, ciągnącym się aż ku północno zachodniej stronie miasta Lublany. W naszej okolicy zwierzyny prawie niema, bo kilka nędznych szaraków, mniejszych niedorastających z powodu lichego pożywienia, kilku stadek kamionek, przebywających w kolczatych, sakłakowych krzakach, śród krąglaczków z nawiezioną lub mozolnie naniesioną ziemią, otoczonych dokoła kamieniem, aby ową cienką warstwę deszcze nie spłukały lub wichry „borami“ tu zwane nie zmiotły — zwierzostanu stanowić nie mogą. Jaka zwierzyna, tacy też myśliwi. Z urzędników ja i magazynier jeden polujemy. W pobliskiej mieścinie Nabrezzina jest tylko jeden myśliwy w osobie signore professore szkoły ludowej. Więc we trzech w porze dozwolonej drapiemy się po górach aby ubić jakiego zająca lub kamionkę. Czasem też ruszamy na moczary pod Monfalcone lub Sta Croze, gdzie trud sowicie się wypłaca, bo znajdujemy mnóstwo kszyków. Niezbyt rozległe to błota, lecz z powodu bliskości morskiej odnogi pełne groźnych trzęsawisk, które jak fama głosi, niejednego już pochłonęły myśliwego. W późnej jesieni, gdy poczyna się zimowy odlot ptactwa, a ono literalnie pokryje te błotne przestrzenie, wylęga się nagle mnóstwo myśliwych, żądnych łatwej zdobyczy. Ci panowie cały rok nie biorą strzelby do ręki, ale w tej porze gromadami spieszą na błota i strzelając w hurmy biją setki różnorodnego ptactwa. Nieprzebierają oni w zwierzynie, nawet skowronkowi i innemu drobnemu ptactwu, obsiadującemu wzgórza, nie przebaczą, nie tyle wybijając, lecz bardziej płosząc. Najnielitościwszymi bywają myśliwi włoskiego pochodzenia, biją nawet bociany, jaskółki, pliszki i inne ptactwo, którego spożyć nie można, ale oni jedzą to wszystko. Z końcem Grudnia, gdy już przelot minął, gaśnie w tych rozbójnikach zapał myśliwski, ale my trzej nie przestajemy być wyznawcami św. Huberta, strzelamy zwierzynę nie dla pieczeni, nie dla nasycenia chęci krwiożerczej, lecz dla czci patrona myśliwych. W ostatnich dniach Listopada z. r. wiał przez cały tydzień wściekle wyjący bora, hulając po nagich górach, prąc na stojące wagony, które tylko silne hamulce wstrzymywały od samowolnej podróży do Tryestu. Śnieg spadł dość obfity, ale ze szczytów gór zmiótł go kochany bora, zasypując nam grubemi warstami tory kolejowe. Bora wyje dziwnymi głosami, druty telegraficzne rwane przez niego jęczą żałośnie, niby struny arfy eolskiej, my kryjemy się w silnie zbudowane zacisza, ale gdzie się wobec tej potęgi wichrów skryje zwierzyna — chyba pod opiekuńcze skrzydła swego Stwórcy! Jakżeż się dziwić, że tu niema zwierzyny! *B.*

KRONIKA.

Święty Hubert. Potomek szlachetnego domu w Akwitanii, został ochmistrzem dworu króla Franków Dytrycha czyli Teodoryka III. (673—91 r.). Nie mogąc zgodzić się z Ebroinem, pierwszym ministrem, Hubert udał się do Pepina, do Austrazyi (część zachodnia Francyi z miastem stołecznem Metz). Tu się ożenił z piękną Florybaną, która mu powiła syna Filiberta, późniejszego jego następcę na biskupstwo leodyjskie. Po śmierci małżonki strapiony Hubert postanowił wstąpić do stanu duchownego i w tym celu wyjechał do swego przyjaciela, a niegdyś mistrza, Lambrechta, biskupa Mastrychtu. Poświęcony na kapłana wyjechał do Rzymu, a gdy Lambrecht zamordowany został w Leodyum (Liége), Hubert wybrany jego następcą. Mieszkańcy tego miasta oświadczyli chęć wzniesienia kościoła na cześć św. Lambrechta w tem miejscu, gdzie poniósł męczeństwo, i Hubert uroczyście wprowadził tu ciało świętego. Przy tej sposobności przeniósł do Leodyum stolicę biskupią z Mastrychtu. Gorącemi kazaniami nawrócił na wiarę chrześcijańską mieszkańców okolicznych, których część jeszcze trzymała

się pogaństwa. Umarł 29. Czerwca 727 r., pochowany w zbudowanej przez siebie kaplicy św. Piotra. W sto lat później, po uznaniu go za świętego, ciało jego nieskażone przeniesiono do kościoła Benedyktynów w Ardennes, który odtąd przybrał imię św. Huberta. Kościół obchodzi jego pamiątkę 3. Listopada. Uznany za patrona myśliwych św. Hubert w skutek legendy, że polującemu namiętnie pokazał się w lesie jeleń, mający krzyż pomiędzy rogami, widzenie to uznał za przestrogę nieba i wyrzekłszy się życia światowego, wszedł na drogę zbawienia. Dawniej myśliwi w dniu 3. Listopada, po ukończeniu wielkich łowów, wyprawiali wspaniałą biesiadę na dworach książęcych. Order św. Huberta jest najdawniejszy i najznakomitszy w Bawaryi. Ustanowiony r. 1444 przez Gerarda V., księcia Bergu i Juliaku, na pamiątkę zwycięztwa, odniesionego nad Arnoldem Egmontem, księciem Gełdryi, w dzień św. Huberta. Order św. Huberta czyli Rogu trwał aż do wygaśnienia rodu książąt Juliaku, Kliwii i Bergu w r. 1609. Elektor palatyn neuburgski Jan Wilhelm wskrzesił go 1709 r. z tytułu władcy kraju, gdzie ten order nastał, przepisał mu statuta i ogłosił się wielkim jego mistrzem. Elektor Karol Teodor potwierdził na nowo statuta, które były przejrzane i dopełniono r. 1808. Order ten liczy nie więcej członków jak 12 wysokiego rodu krajowców. Z obcych zaszczycani są nim tylko monarchowie i najznakomitsze osoby. Kilku Radziwiłłów miało order św. Huberta. Składa się ze złotego krzyża emaliowanego biało, o ośmiu kątach zakończonych kulkami złotemi, pomiędzy któremi mieszczą się promienie, w środku na tle zielonem złoty obraz nawrócenia św. Huberta. Noszą go na wstędze czerwonej, przewieszonej z lewego ramienia na prawe. Przy wielkich uroczystościach zawieszają go na złotym łańcuchu. Były także ordery św. Huberta czeski i elektorski koloński.

L. R.

Z pod Rudek, 20. Czerwca.

Jakieś fatum ściga nasze błotne ptactwo, przeszły rok zimny i wilgotny wygubił mnóstwo bekasów już wylęgłych jakoteż gniazda z niewylęgłym płodem. Jaja kacze i czajcze pozatapiały wody Dniestru i Strwiąża, które rzeki w Dołubowie z sobą się łączą, a gdy Dniestr o kilka stóp wyżej płynie od Strwiąża, to przy zetknięciu się obu rzek powstaje walka jakby dwu olbrzymów i niszczy wszystko około siebie. Wtedy wezbrane wody nie mogąc się pomieścić w korycie Dniestru, występują ze swych dosyć płaskich brzegów, tworząc jakby odnogę morską lub olbrzymie jezioro. Otóż i w tym roku nie lepiej się dzieje z wszelką błotną i wodną zwierzyną, dla której przy znacznem w ogóle osuszeniu moczarów w naszym kraju, okolice te są pieleszą. Wspaniały ale groźny widok przedstawia się oczom naszym daleko szerząc zwierciadło wód nieprzerwane, jednym krańcem dotykając siół rozsiadłych na wzgórzach, drugim łańcucha gór pozastryjskich. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje na równinach między Dniestrem a Strwiążem. Błotne i wodne ptactwo, pozbawione swych gniazd, stadami, z żałośnym piskiem krąży po nad miejscem spustoszenia, szukając swego potomstwa, które Bóg wie gdzie już rwące fale uniosły. Czworonożna zwierzyna, sarny, dziki, zające i t. d., ktorej dzięki usilnym staraniom właścicieli lasów, a szczególnie hr. Badeniego i jego dzielnego nadleśniczego pana Szwestki, znaczna jest liczba, jak owi ludzie w czasie potopu, zebrani w wyższych, ze wszystkich stron wodą oblanych miotach, których tu, jako na równinie położonych nie wiele, koczuje, czekając zmiłowania Bożego — spuszczenia się rozszalałych wód. „Niema wszakże nic złego coby na dobre nie wyszło“ — mówi stare przysłowie. Tem się pociesza p. Szwestka w nadziei, że woda pozalewa nory lisie, których on nieubłaganym jest wrogiem. Wyrosłe dziki i sarny szczęśliwie przeżyją tę czarną godzinę, ale ich płód tegoroczny zapewne ulegnie tym sprzysięgłym nań żywiołom. Obym był fałszywym prorokiem, ale podobno pomnożenia zwierzyny, przynajmniej w naszej okolicy, rokować nie można.

G.

Radca lasowy p. Gustaw Lettner przysłał nam łaskawie urzędowy *Wykaz ubitej w r. 1883 w Galicyi zwierzyny.* Pożytecznej: jeleni 56, danieli 28, sarn 4483, kozic 0, dzików 1135, zajęcy 44.365, królików 51, bobaków 2, głuszców 35, cietrzewi 349, jarząbków 1058, bażantów 374, kuropatw 15.453, przepiórek 23.146, słonek 16.490, bekasów 15.156, dzikich gęsi 349, dzikich kaczek 12.717. Szkodliwej: niedźwiedzi 23, wilków 117, rysiów 25, lisów 3465, kun 601, tchórzów 469, wydr 190, żbików 33, borsuków 286, orłów 188, puhaczów 174, jastrzębi sokołów, krogulców 4593, sów 1494. Dodaje pan radca, iż prócz powyższej zwierzyny, ubito w całym kraju 206 włóczących się po polach i lasach kotów, które mylnie umieszczono w rubryce żbików. Również dołącza uwagę, że Starcstwo kałuskie wymieniło 20 sztuk ubitych pardw, które tutejsi przyrodnicy jako takie nie uznają, i że rzecz jest przedmiotem dalszych badań. Ubitych jeleni wykazuje Chrzanów 11, Dolina 5, Kraków 35, Nisko 3; dzików w znacznej liczbie: Dolina 121, Jasło 80, Kałusz 78, Nadwórna 69, Sokal 43, bobaków: Nowytarg 2, głuszców: Biała 1, Bohorodczany 2, Dolina 8, Kossów 12, Limanowa 2, Lisko 2, Nadwórna 7, Żywiec 1; cietrzewi: Bohorodczany 5, Brody 4, Chrzanów 113, Cieszanów 7, Dolina 14, Drohobycz 2, Kałusz 26, Kamionka str. 38, Kosów 3, Limanowa 20, Nadwórna 6, Nisko 21, Rawa 39, Sokal 2, Stanisławów 14, Staremiasto 6, Wieliczka 6, Żółkiew 23; bażantów: Biała 2, Chrzanów 11, Husiatyn 30, Jarosław 5, Łańcut 23, Sokal 8, Tarnopol 35, Wadowice 246, Zaleszczyki 14; słonek w znacznej liczbie: Gródek 84, Jasło 900, Jaworów 98, Kamionka str. 180, Kołomyja 100, Lisko 80, Lwów 170, Mościska 90, Podhajce 180, Przemyśl 90, Przemyślany 93, Rohatyn 100, Rzeszów 230, Sambor 300, Skałat 126, Sokal 200, Staremiasto 120, Tarnobrzeg 128, Złoczów 965; niedźwiedzi: Bohorodczany 1, Dolina 4, Drohobycz 2, Kałusz 3, Kosów 3, Nadwórna 4, Stryj 3, Turka 3; wilków: Borszczów 4, Brody 6, Buczacz 2, Cieszanów 2, Dolina 1, Drohobycz 2, Grybów 1, Husiatyn 11, Kamionka str. 3, Kołomyja 4, Kosów 5, Krosno 2, Lisko 3, Nadwórna 7, Nowy Sącz 1, Przemyśl 1, Rawa 4, Skałat 5, Sokal 8, Staremiasto 4, Stryj 6, Tarnobrzeg 3, Tarnopol 4, Trembowla 6, Turka 10, Zbaraż 6, Złoczów 4, Żółkiew 2, Żydaczów 1; rysiów: Bochnia 1, Dobromil 3, Dolina 11, Drohobycz 3, Kałusz 3, Lisko 2, Stryj 1; wydr w znaczniejszej liczbie: Bohorodczany 7, Brody 5, Chrzanów 6, Gródek 21, Jasło 8, Kałusz 5, Lisko 7, Nowy Sącz 8, Przemyślany 5, Rohatyn 5, Sambor 5, Stryj 10, Tarnobrzeg 20, Tarnów 7, Turka 6, Żywiec 10.

Z tego wykazu łatwo czytelnik poweźmie wyobrażenie o stanie każdej zwierzyny w naszym kraju, jakoteż o jej siedzibie. Porównawszy wykaz ów z wykazami z lat poprzednich przekona się, o ile nasz zwierzostan wzmaga się lub upada. Niedokładności w takim urzędowym wykazie są w każdym roku mniej więcej te same, nie wpływają one przeto na ogólną statystyczną cyfrę. Objawiając szczerą wdzięczność Wys. c. k. Namiestnictwu za łaskawe udzielanie nam tych wykazów, ośmielamy się tak jak w poprzednim roku zapytać, z jakiego powodu zestawiane one są w języku niemieckim?

Stare przysłowie mówi:

Jeszcze się liść gęsto trzyma,
Nie tak prędko będzie zima,
A gdy zżółkły w świat pogonił,
Wkrótce będziesz zęby dzwonił.

W dawniejszych czasach więcej jeszcze było takich przypowieści, rokujących o wiośnie, zimie, powodziach, urodzajach. O nadejść mającej wczesnej lub późnej, twardej czyli mroźnej lub łagodnej zimie, wróżono z fasoli mówiąc:

Nie poczerniał liść fasoli,
Zima zbliży się powoli.

To spostrzeżenie czyniono w dzień św. Urszuli (21. Października) dodając:

O świętej Urszuli
Śnieżnej oczekuj koszuli.

Gdy w tym dniu śnieg nie upadł i delikatne liście fasoli nie zczerniały, wnioskowano, że zima zbliży się powoli,

Że aż do Wiktoryi Panny (23. Grudnia)
Nie będzie mrozu ni sanny.

Wyżej przytoczone przypowieści powtarzane były przez rolników. Myśliwi zaś przepowiadali wczesną lub późną, łagodną lub mroźną zimę, z zachowania się niektórych zwierząt łownych, np. z zająca:

Ubrał Marcin (12. Listop.) w skrom szaraki
Zima da się dobrze w znaki,
A gdy chude, jest nadzieja,
Zima złamie kark w Macieja (24. Lutego).

Z borsuka:

Gdy święta Urszula (21. Paźdz.)
Jaźwca do snu utula,
To o świętym Joachimie (20. Marca)
Będzie po jego śnie i zimie.

Ptasznicy przepowiadali ostrą, lub łagodną i niedługo trwałą zimę z względnej liczby nadlatujących w jesieni z Beskidów na równiny ptaszków:

Mało sikor, mała zima,
Przecz je Beskid u się trzyma.

lub:

Sikora jesienią kit z okien objada,
Z mrozami i śniegiem trudna będzie rada.

Po zjawieniu się gilów, które tylko podczas twardych zim, przed wielkimi śniegami i mrozami w ich właściwej pieleszy w górach, na doły uchodzą, mówiono:

W Listopadzie gile w sadzie
Straszne mrozy na świat Boży.

O babskiem lecie były przypowieści:

Na świętego Emila (11. Paźdz.)
Babie lato się przesila.

lub:

W święty Rafał (24. Paźdz.) czasem zima,
Czasem on też z babstwem trzyma.

Mnóstwo takich przypowieści krążyło dawniej wraz z przesądami, zabobonami, podaniami i legendami. Dziś one ustępują. Nieraz w nich mieściła sie szczera prawda, gorąca wiara, prawdziwe uczucie, godne są przeto przechowania. Ja drobną cząsteczkę przypominam pamięci, niech inni reszty dokonają.

Gawin.

Z Wołynia.

Z przykrością czytałem w nr. 5. „Łowca“ artykulik, w którym p. Z. podaje sposób, w jaki powiększyć należy stan zwierzyny w lasach majątku Piszczowskiego. Na przestrzeni około 15.000 desiatyn lasu, ciągnącego się od Korca aż ku Zwiahlowi przez 40 klm., otoczonego zewsząd słobodami, osiadłościami dawnej szlachty czynszowej, które obfitują w kłusowników, niełatwem jest zadanie służby leśnej. Gdyby więc w myśl projektu p. Z. nie dano służbie leśnej niższego rzędu broni palnej, pozostałyby na tak znaczną przestrzeń lasu 4 strzelby, a wtedy wilki ściągałyby się w lasy Piszczowskie, a psy gończe sąsiedzkie buszowałyby najswobodniej. Jako zarządzający lasami Piszczowskimi, odeprzeć muszę niesłuszny i obrażający zarzut p. Z., iż służba leśna nasza w spółce z kłusownikami sprzedaje zwierzynę w Zwiahlu. Służba leśna składa się z ludzi wyborowych, z których każdy stara się odpowiedzieć wymaganiom przełożonych, a kto wie, czy po uzbrojeniu ich zamiast broni palnej w dzidy i oszczepy, nie ukrywaliby potajemnie strzelb w lesie i nie wybijali sarn w porozumieniu z kłusownikami. Włościanie, mający wśród lasów sianożęcia, którzy zwykle najniebezpieczniejszymi są kłusownikami, mniejsze nam wyrządzają szkody, niż sąsiedztwa, obfitujące w zręby i łąki, gdzie wybijają sarny z gęstych lasów naszych na żer wychodzące. Mojem zdaniem nie leśnym, lecz włościanom i szlachcie czynszowej należałoby odebrać strzelby, dozwalając tylko noszenie dzid i oszczepów dla obrony od kradzieży koni; należy wzbronić polowania od 1. Lutego do 1. Sierpnia, ustanowić kary za zabicie sarny w kraju całym, a nie wyłącznie tylko w majątku Piszczowskim, a wtedy mielibyśmy zwierzyny wiele i rezultaty wypraw łowieckich byłyby tak świetne jak w Galicyi.

K. Hulla.

Truskawiec 10. Marca 1884.

Już od kilku lat włóczy się w tutejszych lasach kameralnych, a szczególnie w lasach Tustanowickich, kilka rysiów. Nikt wszakże nie podjął mozolnej pracy wytropić je w kryjówkach i zapolować na nie, lubo zmniejszający się z każdym rokiem zwierzostan do energicznego działania wyzywał. W moim obrębie leśnym, składającym się z jasnego, bukowego drzewostanu, otoczonego w koło wsiami i polami, zjawiały się wprawdzie rysie czasem podczas swych nocnych drapieżnych wycieczek, ale za dnia wracały do jarów, znajdujących się w sąsiednim obrębie manipulacyjnym grubego drzewostanu, gdzie je tropić ani mi czas pozwalał, ani to było moją rzeczą, urządzać polowanie bez wyraźnego rozkazu mojej zwierzchności w rewirach mych kolegów. W roku 1884 mieliśmy aż do 24. Lutego zimę prawie bez śniegu, jedynie w górskich działach tutejszych zarządów leśnych leżał śnieg na 15—20 cm. Dnia 28. Lutego i w dniach następnych spadła nagle taka masa śniegu, że obejście rewirów było prawie niemożliwe. Czy to może zabrakło rysiom żeru w górskich działach, lub może im zanadto tam było śniegu, koniec końców dnia 7. Marca znalazłem tropy rysiów w moim obrębie manipulacyjnym, a ponieważ objechanie z powodu wysokiego śniegu było niemożliwe, puściłem mego psa, który też wnet (może 50 kroków od drogi) począł głosić. Mniemałem, że ryś nie mogąc w wysokim śniegu szybko uciekać, atakowany przez psa, skoczy na drzewo, niestety przypuszczenie moje okazało się mylnem, po kilkugodzinnem, daremnem prześladowaniu rysia śród gąszczy i zarośli, mimo zbliżenia się czasem na 30 kroków nie mogąc go dostrzedz, musiałem zaniechać polowania, miałem jednak sposobność skonstatować, że nie jeden, ale dwa były rysie. Nazajutrz śnieg silnie zamarzł, a zwierzyna pomykała po jego wierzchu, ponieważ jednak świeży śnieg poprószył, tropy były bardzo wyraźne. Pojawiły się też i moje rysie, a nawet pomnożyła się ich liczba o jednego. Nauczony wczorajszem bezskutecznem polowaniem, poleciłem w całym moim obrębie manipulacyjnym dokładnie wszystkie ścieżki i linie pograbić, aby łatwiej tropić, i potem w wskazanym miocie strzelców ustawić. Gdym skończył tę robotę, już się moje rysie wyniosły. Mimo tego jednak zwracałem na każdy trop baczną uwagę, codzień obchodziłem ścieżki i linie i wytropiłem wreszcie z radością dnia 11. Marca rysie. Dopiero o 4tej po południu zdołałem zebrać 14 strzelców i obstawiłem nimi przesmyki ku górom, sam zaś z moim wyżłem zaszedłem z drugiej strony tropu tam, gdzie rysie niedawno przeszły do obstawionego miotu. Gdym już jakiś czas szedł za tropem, który mnie naprzód wiódł przez młody zapust, śnieg był mocno zamarznięty, rysie szły po wierzchu i trop słabo się znaczył; puściłem dalej psa za tropem, aby w ten sposób rychlej dojść do celu. Po dziesięciu niemal minutach usłyszałem w gąszczu świerkowym powyżej potoku przedemną głos psa w gąszczu (tak jak na dzika). Ponieważ z każdym krokiem coraz głębiej zapadałem w śnieg, bardzo zwolna naprzód postępowałem i prawdopodobnie strzelać nie miałem nadziei, z drugiej strony zaś obawiać się musiałem, że rysie mogły zwietrzyć niedaleko rozstawionych myśliwych, poszczułem psa, poczem wkrótce usłyszałem, że pies i zwierz podążyły ku linii strzelców. Cztery szybko po sobie padające strzały przekonały mnie, że rysie musiały przejść przez linię strzelców, ale mimo tego odezwał się mój pies w miejscu zaledwie o 100 kroków przed nią, a gdym się tam dostał, czołgając się na rękach i nogach, ujrzałem jednego rysia na grubej osice. Po moim pierwszym strzale śrótem nr. 1 ugodzony w pierś, spuścił się zwolna i zabierał do ucieczki, ale pies go chwycił za zadnie łapy. Zaatakował on psa coraz więcej zajadłego, więc aby zakończyć te dla mego wyżła niebezpieczne zapasy, wystrzeliłem z oddalenia czterech kroków, poczem ryś rozciągnął się martwy. Z pozostałych dwóch jednego ubito, drugiego postrzelono, za tropem ostatniego poszedł mój pies, ale z powodu zapadającej ciemności nie mogli go myśliwi prześladować, a pies wrócił do domu dopiero o 8mej wieczorem, kulejąc. Oba rysie były samice. Nazajutrz ostanowił pies rysia kilka razy, ale musiałem zaniechać prześladowania w sąsiednich rewirach, ponieważ trop w lesie szpilkowym nie był widoczny. Skutek polowania musi być uważany jako nader pomyślny i rzadkim jest bardzo w Galicyi, nie życzyłbym sobie jednak, by tacy goście się u mnie zagnieździli, od czasu bowiem, gdy premię (25 złr. za samicę) za ubicie tego drapieżnika zniesiono i nagroda wynosi tylko 3 złr., to nie małej potrzeba pasyi myśliwskiej, aby wziąć na siebie ciężki trud wytropienia i ściągnienia myśliwych, a najczęściej psuje się polowanie z powodu apatyi strzelców, których bardzo trzeba zapraszać, nim się raz zbiorą. Jaką szkodę wyrządziły te trzy rysie przez kilka lat swego tu pobytu, można łatwo obliczyć.

J. Geschwind, leśniczy.

(Mittheilungen d. n. öst. Jagdvereins, Nr. 5.)

„Wszechświat“ Warszawski podaje w nr. 20. b. r. Los zrzuconych rogów jelenich. Liczba znajdowanych rogów jelenich nie odpowiada ilości corocznie zrzucanych i często dają się słyszeć zapytania, jaki je los spotyka. W ostatnich czasach James Inglis, nadleśny w Dunrobin Glen w Szkocyi, przekonał się, że jelenie i łanie zjadają zrzucone rogi, zwłaszcza zwietrzałe na powietrzu; mianowicie zaś dwaj jego podwładni widzieli przez lunety rogacza i łanię zjadających rogi. Jeden z tych rogów natychmiast został znaleziony, drugiego zaś nie można było odszukać. Jeleń zawsze zaczyna od wierzchołka rogu lub jego gałązki i zjada róg coraz dalej ku podstawie. J. Inglis czyni uwagę, że w pobliżu jego miejsca zamieszkania znajduje się krowa, która zjada wszelkie znalezione kości, jak się zdaje bez wszelkiej trudności („Nature“.)

A. W.

Wiedeńskie „Illustrirtes Extrablatt“ z dnia 18. Czerwca b. r. donosi, że wraz z trzema prześlicznymi ogierami rasy turkmańskiej, ofiarowanymi przez władzcę Turkestanu cesarzowi Austryi, przybył do Wiednia i chart rasy turkmańskiej, z szorstkim, dzikiej barwy włosem. Pies ten miał być przedziwnej lotności, zająca pomykającego o 300 metrów przed końmi, wziął po ubieżeniu ledwie 200 kroków żywcem. Ludom wyznającym Islam wolno spożywać mięso zwierząt jedynie nożem zarżniętych. Żywcem pochwyconą sarnę, antilopę lub zająca zarzyna myśliwy nożem po odmówieniu krótkiej modlitwy. Następca tronu austryackiego mając w swej psiarni kilkanaście wybornych chartów, darowanych mu przez któregoś z magnatów węgierskich, zechce zapewne skrzyżować je z psem turkmańskim, przez co rasa tych chartów o wiele się polepszy.

U.

W połowie bieżącego stólecia upędzał się za zwierzyną w Tatrach dziś jeszcze wspominany kłusownik Jan Bigos, pospolicie Jonkiem zwany. Na wielkie jego zmartwienie wysłała go raz żona na jarmark z krową, którą miał sprzedać. Jonek zbył krowę za 40 złr., wlazł do pierwszej lepszej szynkowni i roztrwonił przy dźwięku cygańskiej muzyki całą swoją gotówkę. Gdy powrócił do domu, skakała mu żona przez cały tydzień do oczów i obsypywała najobelżywszemi słowy. Już mu w końcu było tego dobrego za wiele, wetknął więc w torbę nieco żywności, zarzucił ją na plecy i ruszył w las ku kryjówce, w której strzelbę ukrywał. Naprożno wyglądała go żona przez cztery czy pięć tygodni i kazała go wszędzie szukać, wreszcie osądziła, że Jonka spotkało jakieś wielkie nieszczęście, a nawet dała na mszę za jego duszę. Ale zdarzyło się coś niesłychanego. Już młoda żona Jonka myślała o powtórnem małżeństwie, wtem z wielkiem jej zdziwieniem zjawia się nagle Jonek w roztarganych butach i odzieniu, wynędzniały jak szkielet, i nie witając się wcale, rzuca 40 złr. na stół, mówiąc: „Oto masz babo pieniądze, ale mi teraz o tem ani piśnij.“ — Gdzie był, co robił, skąd wziął pieniądze, łatwo się można domyślić. Zwierzynę sprzedawał wówczas kłusownik za bezcen. Z jakim trudem i ile jej padło, nim taką uzbierał sumę, którą okupił sobie spokój domowy.

(Jagdzeitung.)

Dzienniki donoszą, iż znane doświadczenia Pasteura nad ochronnem szczepieniem psom wścieklizny, miały doprowadzić do zupełnie zadowalających rezultatów. Znakomity badacz wystosował już do pana Faillieres, ministra oświecenia publicznego, podanie, prosząc o wyznaczenie specyalnej komisyi dla sprawdzenia jego teoryi i powtórzenia doświadczeń. *(Hodowca Warsz.)*

Wkrótce ma się odbyć wiec rybacki w Wiedniu, na którym sprawy rybackie galicyjskie będzie referować Dr. M. Nowicki. W celu dokładnego zbadania stosunków rybackich, ma on przedtem odbyć podróż po kraju, głównie dla zbadania naszych granicznych wód: Czeremoszu i Prutu w Śniatyńskiem, Dniestru między Zaleszczykami a Okopami, Zbruczu między Ujściem a Skałą, a w powrocie nad Wisłą, Dunajcem, Popradem i Białą. Niezmordowany ten pracownik na tem polu w podeszłym już wieku nie szczędzi trudów, pracy i kosztów dla tej sprawy, nie znajdując żadnego prawie poparcia.

Według urzędowych dat statystycznych dowieziono do Galicyi w roku 1883 rozmaitych ryb 2.861.519 kilogramów, w szczególności: *a)* śledzi 2.331.761 kil., z tego z Prus 1.767.033, z Rosyi 564.728, *b)* innych ryb solonych z Rosyi 328.908, z Prus 56.825, z Tryestu 2686, czyli razem 388.419 kil., *c)* przyrządzonych ryb w beczkach 6113, mianowicie: z Prus 5965, z Rosyi 142, z Tryestu 6 kil., *d)* ryb świeżych 115.527, w szczególności: z Prus 64.630, z Rosyi 50.897 kil., *e)* ryb w puszkach i flaszkach z Prus 8581, z Włoch 156, z Rosyi 62, razem 8799 kil., *f)* ryb w oliwie 10.900, tj. z Prus 6286, z Rosyi 2793, z Tryestu 1463, z południowych Niemiec 278, z Włoch 77, z Rumunii 3 kil. Prusy dostarczyły najwięcej, bo aż 1.909.320, Rosya zaś 947.530, a inne kraje tylko 4.669, jako to: Tryest 4155, Niemcy południowe 278, Włochy 233 i Rumunia 3 kil. Na same śledzie przypada 2.331.761, na inne ryby 529.758 kil. Kupiec Wentzel w Krakowie ocenił najniżej przybliżoną wartość tych ryb na 621.803, 155.369, 2800, 126.000, 12.600, 22.600 złr., w rzeczywistości jednak wyniosła ona może dwa razy tyle. Podobnie wielkie sumy wychodzą bezpowrotnie co roku za granicę z kraju, który posiada 280.445 morgów wód rybnych, i mógłby oprócz na własną konsumcyę mieć ryb i raków do wywozu za kilka milionów guldenów. Czy to gospodarnie? *(Pr. Dr. M. N.*

Warszawski „Wszechświat“ z d. 18. Maja b. r. umieszcza artykuł p. t.: Szkodliwość muchy domowej przez A. W. Dr. B. Grassi zwraca uwagę na fakt, że muchy domowe są szkodliwymi pośrednikami w roznoszeniu chorób zakaźnych, epidemicznych, a nawet w roznoszeniu pasożytów *(Archives italiennes de biologie, tom 4. zeszyt 2.).* Mucha zwykła siadać na wszelkich mokrych ciałach bez różnicy, czy to są wypróżnienia chorego na tyfus, czy plwociny suchotnika. Następnie ta sama mucha, bez względu na poprzednio odwidzany płyn, siada na wilgotnych wargach lub na oku człowieka. Nogi, pyszczek i piersi muchy, które stykały się z materyą zaraźliwą, zostają obecnie oczyszczone na świeżo zwidzanej błonie śluzowej. Niebezpieczeństwo tego rodzaju odwidzin dawno już poznano i zaledwie można powątpiewać, że egipską oftalmię stale roznoszą tacy pośrednicy skrzydlaci. Dr. Grassi zwraca uwagę na większe jeszcze niebezpieczeństwo. jakiem grożą wypróżnienia muchy. Przytacza on następujące szczegóły. W Rovellasca, pomiędzy jego pracownią znajdującą się na pierwszem piętrze, i kuchnią położoną na dole, rozciąga się dziedziniec, skutkiem czego okna obu tych miejsc oddziela przestrzeń dziesięciu mniej więcej metrów. Na stole w laboratoryum umieścił on półmisek z licznemi jajkami robaka mieszkającego w człowieku *(Trichocephalus dispar).* W kilka godzin potem na arkuszach białego papieru, w kuchni wiszących, znalazł powszechnie znane plamy kału musiego, w których za pomocą mikroskopu odkrył jajka pasożyta. Następnie złapał kilka much w kuchni, ich kiszka zawierała wielką ilość nagromadzonego kału, w którym znaleziono jajka robaka. Ponieważ niepodobną jest rzeczą zabezpieczyć wszelkie jedzenie przed muchami, przeto Dr. Grassi wraz ze swą rodziną w wysokim stopniu był zagrożony zarażeniem pasożytami, gdyby nie okoliczność, że do doświadczenia użyto zbyt młodych jajek. Dalej poddał Dr. Grassi doświadczeniu jajka solitera *(Taenia solium).* Rozgniótł on w wodzie dojrzałe pierścienie robaka zachowanego w spirytusie, tym sposobem w wodzie zostały zawieszone liczne jego jajka. Muchy, zwabione cukrem, przybywały do mięszaniny i w jakie pół godziny potem znaleziono jajka solitera w ich kiszkach i kale. Świeże i żywe jajka bez żadnej wątpliwości zachowałyby się w ten sam sposób i byłyby tak samo przeniesione. Dla pragnących powtórzyć to doświadczenie, autor zaleca zarodniki widłaka (proszek likopodyum, pomięszany z cukrem i wodą), gdyż łatwo je odkryć w kiszce i kale. Oczywistą jest rzeczą, że gdy smoczek muchy pozwala na pochłonięcie takich przedmiotów, jak wyżej wymienione, nie może on przeszkadzać połykaniu zarodników rozmaitych grzybków pasożytnych, a przedewszystkiem tak zwanych Schizomycetes, które są przyczyną tylu chorób. Dr. Grassi odkrył już w kale much zarodniki grzybka *Oidium lactis*, oraz spory grzybka *Botrytis*, zebrane na ciele martwych jedwabników. Pozostaje tedy pytanie, o ile siła trawienia w kiszkach muchy jest w możności zabijania zarodków lub zarodników, zdaje się jednak prawdopodobnem, że większe ciała połknięte nie ulegają strawieniu i mogą być wydalone jako obce przedmioty, należy bowiem pamiętać, że same muchy stają się ofiarą pasożytnego grzybka *(Empusa muscae)*, który prawdopodobnie zostaje wprowadzony do żołądka. („Nature“ 1884, nr. 751.).

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.

Dodatek do Nr. 8. „Łowca“.

O wzorowym sposobie hodowania karpia

zaprowadzonym przez Tomasza Dubischa.

NAPISAŁ

Dr. M. Nowicki.

Gospodarstwo stawowe sięga dawnych wieków i rozwijało się w miarę doświadczeń przez praktykę nabywanych. W ogólności jednak nie wzniosło się ono, podobnie, jak chów bydła, rolnictwo i inne gałęzie gospodarstwa wiejskiego, aż po nowsze czasy, do owego stopnia doskonałości, do jakiej było zdolne. Przyczyny tego były rozmaite, np. brak znawców rybactwa, nieodpowiednie korzystanie ze stawów, niewłaściwe postępopowanie przy hodowli ryb, a co najważniejsza, dość rozpowszechnione i dotąd jeszcze uporczywie utrzymujące się mniemanie, że ryba żyje tylko wodą i dlatego można ją chować na małej przestrzeni stawku lub nawet sadzawki, chociaż temu mniemaniu sprzeciwiała się prastara i codzienna praktyka, że np. dane pastwisko może wyżywić tylko pewną ilość bydła, hektar roli wydać jeno tyle a tyle zboża. Trzymano w stawach rozmaite gatunki i różnego wieku, drapieżne z roślinożernemi, stare z młodemi, podobnie jak po pastwiskach włościańskich buchaje, ogiery, knury, tryki z samicami młodemi i staremi. Pozostawiono tarło na chybił trafił samym rybom, w skutek czego przypłodek był lichy i powstawały bastardy, co dziś jeszcze cechuje złe gospodarstwa rybne. Nie opiekowano się narybkiem, lecz pozostawiano go jego własnemu losowi. Nie zabezpieczano stawów przed najściem bądź ryb drapieżnych, które dziesiątkowały gatunki chowane, bądź też ryb dzikich, które chowanym pokarm zabierały, a same pożytku nie przynosiły. Gdy się wreszcie zwrócono głównie do hodowli karpia, ryby mającej znaczenie tucznych zwierząt domowych, to zawsze jeszcze postępowano przytem po części nieudolnie lub wadliwie i dla tego nie osiągano spodziewanych możebnych korzyści ze stawów. Wszystko to wielu posiadaczy zachęcało i skłaniało do spuszczania stawów i zamieniania na role lub łąki, jak o tem świadczą liczne pozostałe groble i stawiska jużto obsiewane, już też za pastwiska służące.

Na Szląsku i w Galicyi zachodniej nad Wisłą, Białą, Sołą i Skawą, istnieją mnogie stawy, które również mają za sobą powagę wieków. Przedstawiają one tę korzyść, że się dają spuszczać i nawadniać, oraz że są płytkie, a zatem wybornie nadają się do hodowli karpia. Największa część tych starych stawów, które swem doskonałem urządzeniem nawet dzisiejsze pokolenie w podziw wprawiają, jest obecnie własnością Arcyksięcia Albrechta, mała reszta należy do innych dziedziców. Sposób gospodarowania na nich i postępowe zmiany z biegiem czasu zaszłe, mało są publicznie znane, gdyż hodowcy nie ogłaszali swych doświadczeń; to tylko pewna, że kultura karpia tam oddawna przez dyrekcye dóbr arcyksiążęcych znakomicie podniesioną została.

Co się tyczy Szląska, w szczególności kamery cieszyńskiej, to dyrekcya tejże była na prośbę Towarzystwa rybackiego tak uprzejmną udzielić mu niektórych wiadomości. Tak na stawach kamery prowadzono przed Dubischem przemienne gospodarstwo rybne i rolne w ten sposób, że przez 2 lub 3 lata trzymano stawy ciągle pod wodą, zarybione karpiami. Karpie zatem dochodziły 3 lub 4 lata wieku, zanim je sprzedano, ale mimo to dorastały tylko 1 do 1 ½ kilograma wagi, choć przez pewien czas próbowano im dodawać pokarmu z mięsa końskiego. Przez następne 3 lub 4 lata stawy orano i obsiewano, jednak uprawa ta nie opłacała się po większej części. Narybek produkowano własny, ale podług starej modły, t. j. że na wiosnę wsadzano do stawu do 10 par tarlaków, a uzyskane z nich w nadmiernej ilości karpięta zostawiono w tym samym stawie aż do jesieni, potem odławiano, przez zimę przechowywano i następnej wiosny po stawach na dalszy wyrost rozsadzano. W skutek zbytniej mnogości karpiąt i niewystarczającego dla nich pokarmu w stawie, rosły one tępo, a często nawet marniały, i dla tego trzeba było narybek skądinąd kupować; co gorsza, w dalszem następstwie tego także kroczki i karpie na kupca wychowane z narybku zagłodzonego, nie dochodziły już zwyczajnego wzrostu ani też odpowiedniej wagi, choć zostawały w stawach przez 3 lub 4 lata.

W Jawiszowicach w Galicyi postępowano według podań urodzonego tamże J. Szczerbowskiego rozmaicie w różnych czasach. „Za administracyi arcyksiążęcej spuszczano staw, który był wodą przez 2 lub 3 lata, wykoszono dymkę, zorano i zasiano owsem z domieszką koniczyny, zbierano owies jednego roku, a koniczynę przez następne 2 lata, potem na nowo zorano, napuszczono wodą i zarybiono. Stawu zaś rocznego z niepewną ilością wody, który miał być zarybiony, a mógł zamarznąć aż do dna, nie spuszczano wcale ani też nie orano, tylko trawę pod wodą wybrano. Tarlaki na narybek puszczano wraz z kroczkami do takiego stawu, który miał być w jesieni odłowiony i w którym do tego czasu kroczki wyrastały na karpie na kupca; według wielkości stawu puszczano tarlaków par kilka do kilkunastu. Narybek pochodził z tarła w maju, czerwcu, lipcu i sierpniu, był przeważnie drobny, bo tylko 3 do 9 a rzadko do 13 cm. długi, z powodu zbytniej mnogości, dlatego puszczano umyślnie do stawu szczupaki, aby narybek przerzedzały; pozostałą część karpiąt odławiano

w jesieni i osadzano na zimowisko do sadzawki albo też do stawu przeznaczonego dla tego narybku na przyszłe lato. Za czasu dzierżawy p. Sabelli postępowano mniej więcej tak samo, z tą tylko różnicą, że stawu prawie nigdy nie trzymano dwa roki wodą i że po każdem spuszczeniu i odłowieniu musiał czy to w jesieni czy też na wiosnę, stosownie do sprzyjającej pogody być oczyszczony z dymki i spodorany. Siedmiomorgowy staw Trzciniec, ku południu położony, od kilkudziesięciu lat zasiewany, przeznaczono 1861 r. na tarlisko, wpuszczono do niego 14 tarlaków, a te wydały niezmierną ilość narybku, z którego prawie połowę wpuszczono do Wisły; prócz tego narybek z powodu zimna w maju był drobny, przeważnie 3 do 4 cm. długi, a nie większy nad 7 cm. Staw Wielki Jaźnik kroczkami zarybiany, zostawał przez 3 lata pod wodą, aby kroczki przez ten czas na większe i cięższe wyrastały karpie. Za dzierżawcy p Schwarza stawów prawie nigdy nie orano i nie zasiewano, mało też kiedy na trawę zostawiono, tylko dymkę wyrywano lub koszono. Na zimę tylko pozostawiano stawy na mrozie z powodu niepewności, czy na wiosnę do ich zalania będzie dosyć wody; zazwyczaj zaś zawadniano je w jesieni zaraz po odłowieniu; zaniechanie orania jednak okazało się niekorzystnem, gdyż stawy obfitując w tłusty szlam, zbyt gęsto dymką zarastały i nią się zanieczyszczały. Wieśniacy posiadają stawy najwięcej 1·3 ha. wynoszące i jałowe, bo bez dymki. Miewali je przez 2 lata wodą i zarybione, ale spuszczali każdej jesieni, gdyż w zimie nie stawało wody do przepływu. Przez następne 2 lata orali i siali owies z koniczyną, potem pokładali i znów napuszczali wodą. Narybek bywał przeważnie drobny, na 3 ct. długi, wyjątkowo dochodzący 5 do 13 cm. długości, wychowywali go z 1 lub 2 par tarlaków, zwykle pospołu z karpiami wyławiali z tymi w jesieni i razem trzymali przez zimę w sadzawkach, wpuszczali następnej wiosny do stawu, gdzie do jesieni wyrastał na kroczki; te znowu albo zaraz sprzedawali, albo trzymali dalej przez zimę w sadzawkach, puszczali na wiosnę do stawu, odławiali w jesieni jako karpie 3-letnie i dopiero wtedy kupcom na centnary sprzedawali, według tego jak który potrzebował pieniędzy lub nie. Na centnar szło 24 do 30, rzadziej 18 par karpi“.

Podobne gospodarstwo prowadzono i indziej gospodarstwo przemienne lub tylko rybne. Chowano głównie same karpie, ale przerybiano stawy, co właśnie było wadą, od której wielu do dziś dnia na własną niekorzyść odwyknąć nie może. Nie produkowano narybku osobno, lecz pospołu z innemi rybami, dlatego też udanie narybku zależało czysto od przypadku, często całkiem zawodziło, a wtedy hodowcy ponosili znaczne straty, bo nie mieli czem zarybiać stawów, psuł im się gospodarski turnus stawowy; w potrzebie kupowano od partaczów za narybek starsze karpie głodem wymorzone i dlatego nie wyrosłe, które zamiast paść się i nabierać tuszy, tarły się i wydały płód bez liku i wartości. Dodawano tarlakom młodych karpi w mniemaniu, że się w takim razie lepiéj trą. Używano za wiele tarlaków, że wydawały nadmierną ilość narybku, ktory z głodu nie rósł lub nawet ginął; przerybieniu zaradzono w ten sposób, że albo puszczają szczupaki do stawu, co nieraz na złe wychodziło, albo też wyławiano część karpiąt i puszczano do wód bieżących. Stawy spuszczane jużto zaraz po odłowieniu w jesieni znowu nawadniano, już też zostawiano przez zimę suche, aby się wymrażały i odkwaszały, a karpie z nich przetrzymywano przez zimę w sadzawkach. Stawy czasowo obsiewane i sprzątane przeorywano przed nowem nawodnieniem i zarybieniem, ale się wnet przekonano, że takie postępowanie było niekorzystne, więc też zaniechano je i pozostawiono potem ścierń na sprzątniętych stawach, gdy miały być znów nawodnione i zarybione Niepodobna tu wszystkich szczegółów najrozmaitszego postępowania hodowców wyczerpnąć i nie potrzeba też, gdyż przytoczone powyżej malują dostatecznie dawniejszy tryb hodowli karpia, a zatem przystąpmy do skreślenia nowego postępowania przy tejże.

Twórcą tego nowego postępowania, które stanowi epokę w historyi gospodarstwa stawowego, jest Tomasz Dubisch. Urodził się 1813 r. na Węgrzech. Ztąd przesiedlił się z rodzicami do Austryi, był zrazu rybakiem, potem oddawał się od r. 1840 sztucznej kulturze pijawek, zaś od r. 1850 w Wiedniu sztucznemu hodowaniu ryb. Równocześnie miał zajęcie w tamtejszym ogrodzie zoologicznym pod kierownictwem dra Jägera, znakomitego znawcy chowu ryb; za tegoż wskazówkami karmił ryby żywymi owadami i wynajdywał w okolicy oraz wychowywał żywy pokarm rybny, z którego to zadania sobie poruczonego wywiązywał się jako człowiek sprytny, pojętny i chętny ku zupełnemu zadowoleniu dra Jägera. W latach 1861 do 1864 urządził i prowadził baronowi Geimüller koło Krems pstrągarnię; wśród tego otrzymał 1863 r. na wystawie rolniczej w Hietzing wielki medal srebrny za ryby łososiowe. W r. 1865 wrócił ztamtąd do Wiednia, zajmował się dalej chowem ryb na własną korzyść, i wtedy to doznawszy nie jednego niepowodzenia, wpadł na nowy pomysł, jak w chowie karpia postępować należy, aby iść na pewne i uniknąć, o ile to w mocy ludzkiej leży, zawodów połączonych ze stratą czasu, pracy i pieniędzy; na wystawie rolniczej odbytej w Wiedniu w praterze 1863 r. został odznaczony złotym medalem za wystawione dorodne ryby. Nowa jego metoda, choć się z nią przed nikim nie taił, lecz owszem propagował ją w tamtejszych kołach interesowanych, nie ściągnęła na siebie uwagi tychże, i snać pozostała tam aż dotąd nieznaną. W r. 1868 poznał Dubischa w Wiedniu baron S. Wattmann z Rudy różanieckiej w Galicyi, ocenił jako znamienity praktyk i teoretyk doniosłość jego nowej metody, sprowadził go też do siebie celem urządzenia mu wzorowej hodowli pstrąga oraz karpia, która do dziś dnia prosperuje, a następnie polecił światłemu dyrektorowi kamery Cieszyńskiej na Szląsku ś. p. v. Scheidlin jako biegłego praktyka, który gospodarstwo stawowe podnieść jest zdolen.

Jakoż rzeczywiście Dubisch dostał się 1869 r. do służby arcyksięcia Albrechta w charakterze fiszmajstra, gdzie dotąd zostaje, ma przy wybornych stawach wdzięczne pole do działania i popierany przez dyrekcyą, na swój sposób gospodaruje z miasteczka Skoczowa, w którem stale mieszka Pomimo podeszłego wieku trzyma się rzeźko i dotąd jeszcze wszystkie prace rybackie własnemi rękami wykonywa.

Urządził pstrągarnię w Skoczowie i Brennicy na Szląsku, a w Kamesznicy w Galicyi, tym samym tanim i praktycznym sposobem, jak w Rudzie u barona Wattmanna; w powrocie z Rudy zwiedził pstrągarnię hr. Art. Potockiego w Dubiu.

Odradził dyrekcyi dalszej uprawy stawów, która w Cieszyńskiem była mozolną a niekorzystną, i została też zaniechaną. Odtąd Dubisch używa stawów wyłącznie do hodowli karpia, ma je rok po roku pod wodą przez wiosnę i lato, zaś po każdej jesieni po odłowieniu ryb spuszcza do szczętu aby przez zimę leżały suche i wymrażały się, a na wiosnę znowu je nawadnia i karpiami obsadza. Ugorowanie takie zaradza zakwaszeniu się stawów oraz zbyt bujnemu ich zarostowi. nadto przyczynia się do wygubienia licznych niszczycieli rybnych w stawach żyjących, a na wiosnę po świeżem zalaniu do wy-

tworzenia się dla ryb pokarmu naturalnego, od którego obfitości powodzenie hodowli karpia głównie zawisło.

Karpie z wszystkich stawów w jesieni odłowione umieszcza do przezimowania w osobnych sadzawkach z dostatecznym przepływem świeżej wody, co jest dogodniejsze ze względu na robienie przerębli w zimie, a karpiom żadnej ujmy nie przynosi, gdyż zimą nie żerują, tylko spoczywają.

Zaprowadził trzechletni turnus w hodowli karpia, a zatem krótszy od dawniejszego, przyczem osiąga jeżeli nie znacznie lepsze to nie gorsze rezultaty od dawniejszych. Tak przyczynił się do szybszego obrotu kapitału i pobierania corocznie większych dochodów.

Zabezpieczył stawy przed najściem ryb dzikich i drapieżnych, zastawiając dopływy do nich skrzyniami urządzonemi z łat i żwiru, przez które woda przeciekać, ale żadna rybka ani wejść ani wyjść nie może Dlatego nie doznaje nigdy zawodu, jaki spotyka innych hodowców, którzy niczem nie bronią dzikim rybom przystępu do stawów.

Nie mięsza gatunków, lecz chowa samego karpia. bez dodatku lina, który zbyt powolnie rośnie i dlatego nie opłaca się, także bez szczupaka, który przy metodzie Dubischa jest wcale zbyteczny. a tylko w stawach dzikich przydatny. Wypielęgnował szlachetną rasę karpia szybko rosnącą. z małą głową a szerokim grzbietem; utrzymuje wyłącznie tylko karpie całe łuską pokryte, gdyż spaczniaków lub nagich karpi ani żydzi ani prusacy nie chcą kupować, choć smakosze uważają je za smaczniejsze. O rasowe tarlaki szczególniejszą ma pieczę, bo też od nich cały pomyślny wynik hodowli zależy.

Zapewnił produkcyą karpia w sposób nie mogący zawieść i tem właśnie wyświadczył wielkie dobrodziejstwo hodowcom. Mianowicie obiera on w każdej domenie na tarlisko karpia i odpowiednio przygotowuje osobny stawek o małej przestrzeni (0 1 ha), który przez większą część roku leżał suchy i żadnych ryb lub szkodników nie zawiera, któreby narybek napastować lub niepokoić mogły. Nawodnia go stosownie do sprzyjającej pogody około 15 do 20 Maja i zaraz do tej świeżej wody wsadza tarlaki, tylko 1 ikrzaka i 2 mleczaki, które niebawem odbywają tarło, jeżeli tylko woda ma co najmniej 14° R. ciepłoty. Według wielkości 1 ikrzak do tarla wybrany wydaje 60000 do 100000 narybku, a zatem ilość, która nawet po strąceniu nieochybnych ubytków starczy do obsadzenia przestrzeni stawów 550 ha. wynoszącej. Po odbyciu tarła Dubisch oddala tarlaki, aby się ikra swobodnie rozwijała. Karpięta lęgną się w kilka dni, w drugie kilka tracą pęcherzyki żółtkowe, jeżeli jest ciepło. zaczynają żerować i widocznie wzrastają. Że wszakże mały stawek tarłowy, acz świeży i pożywny, nie zawiera pokarmu dla kroci konsumentów na czas dłuższy dostatecznego, przeto Dubisch wyławia z niego karpiątka siatką i przesadza do świeżo przygotowanego stawu narybkowego, już to wszystkie, już też tylko potrzebną mu ilość, a zbyteczną resztę rozpuszcza w potokach, jeżeli nie ma komu sprzedać lub darować. W tym stawie narybkowym pasą się karpięta przez 4 lub 5 tygodni, o ile starczy pokarmu, co wprawne oko Dubischa po ich wzroście poznaje. Potem Dubisch wyławia je stąd i przesadza po raz drugi do nowego stawu narybkowego, licząc na 1 ha. po 17 do 20 kóp. Tu już one zostają do jesieni i dorastają do tego czasu 12 do 20 cm. długości lub nawet więcej, według tego, jak ciepło sprzyjało i pokarmu był dostatek. Myśl kilkakrotnego przesadzania narybku, tak prosta, a dopiero przez Dubischa w czyn zamieniona, jest w swych skutkach niemniej doniosłą, jak wychów narybku w odosobnieniu i tylko w potrzebnej ilości, oraz ochranianie go od szkodliwych dlań przypadłości. W jesieni Dubisch narybek wyławia i chowa do sadzawek zimowych pospołu z karpiami starszymi.

Następnej wiosny Dubisch rozsadza narybek zeszłoroczny w świeżo zalanych stawach kroczkowych po 7 do 10 kóp na 1 ha., gdzie tenże do jesieni wyrasta na k r o c z k i, które mając $1\frac{1}{2}$ roku ważą $^{3}/.$ kilogramy, rezultat, jakiego przed Dubischem kamera przy dawnem postępowaniu nie osiągała.

W trzecim nareszcie z rzędu roku kroczki przezimowane puszcza do stawów wyrostowych również nowo nawodnianych, gdzie one już wyrastają na k a r p i e n a k u p c a, które będąc niespełna $2\frac{1}{2}$ roku stare, ważą 1·3 do 1·5 kilograma, jakiej to wagi dawniej dopiero po 4 lub więcej latach dochodziły.

Zresztą nadmienić należy, że zdaniem Dubischa karpie i narybek jedzą głowacze żabie, dlatego zbiera on skrzek żabi na sta centnarów i wrzuca go do stawów. Wyławiania karpi i narybku nie powierza drugim, lecz sam się niem zajmuje, aby chronić ryby od okaleczenia, które mogą spowodować choroby

Poniższa tablica wykazuje wynik gospodarski Dubischa w stawach domeny Pierściec na Szląsku; za podstawę wykazu przyjęto r. 1883, a za przeciętną wagę karpi 2·2 funta.

	Przestrzeń stawów		Ilość rozsadzonych karpi		Straty		Ilość odłowionych karpi	
	ha.	% całej przest.	na 1 ha.	na 1 staw	na 1 ha.	na 1 staw	na 1 ha.	na 1 staw
Stawek tarłowy	0·1	0·018	—	3	—	—	—	100000
Staw narybkowy Nr. 1.	3	0·551	33333	100000	8333	25000	25000	75000
Staw narybkowy Nr. 2.	71·4	13·111	1050	75000	50	3570	1000	71430
Staw kroczkowy	137·1	25·175	520	71430	20	2742	500	68688
Staw karpiowy (odrostowy)	333	61·145	206	68688	6	1998	200	66690

a zatem 544·6 ha. stawów dają rocznie 66690 karpi po 2 2 funta czyli razem 146718 funtów, w szczególności 1 ha. 122·4 karpi ważących 269·4 funta. Te dane mogą posłużyć za wskazówkę, jaki pożytek z mniejszych przestrzeni stawów otrzymywać można.

Jak już poprzednio nadmieniono, jądro metody Dubischa leży w pewności produkcyi potrzebnego narybku, jego ochronie i przesadzaniu go w stosownej ilości do coraz świeżych stawów, aby ciągle obfitował w pokarm i rósł ile można najmocniej, zasada, której hołdują także racyonalni hodowcy bydła lub koni, a której zastosowania do ryb dziwnym sposobem Horak, słynny hodowca karpi w dobrach Wittingau w Czechach, sam się obawiał i drugim także odradzał. Gospodarując według tej metody bez znaczniejszych nakładów, Dubisch podniósł dochody ze stawów kamery Cieszyńskiej z 4000 na 30000 zł., co wymownie świadczy o tem, że jest zarówno przydatną jak pożyteczną. Urządził według niej także kilka gospodarstw w Galicyi, np. w Dankowicach. Rudzie, a jego uczniowie, np Paweł Stipper, w innych majątkach. Nie szczędził dobrych rad proszącym go o takowe, wyjeżdżał też na żądania w różne strony. Za jego przykładem ulepszali swe gospodarstwa stawowe bliżsi mu hodowcy, od tych znowu uczyli się inni, i tym sposobem przyswajała się zwolna racyo-

nalna hodowla karpia miejscami na Szlązku i w Galicyi zachodniej nietylko po dworach, lecz także, z czego cieszyć się należy, nawet między włościanami. Idealnie piękne karpie jego i znakomitszych hodowców zasłynęły szeroko w Europie, i dzięki zabiegom śp. Stan. Gołemberskiego z Krakowa oraz p. Adolfa Gascha znalazły popyt i pokup po Warszawę, Wrocław, Hamburg, Berlin i t. d., i tylko żałować należy, że produkcya ani w setnej części popytowi jeszcze nie wyrównywa. Na wystawach w Berlinie 1870 r. i w Hamburgu 1883 r. karpie p. Gascha z Kaniowa, chowane trybem Dubischa, wzbudziły ogólny podziw znawców i zyskały też pierwsze państwowe medale, nagrody i dyplomy honorowe, bo też rzeczywiście ze względu na młodszy wiek a bujny wzrost przewyższały nad wszelkie porównanie karpie z innych krajów wystawione, a nawet słynące z dawna czeskie. Ale tak samo mogły być odznaczone karpie pp. Dubischa. Dembonia, Burdy i innych szląskich hodowców, a z Galicyi karpie pp. Czecza, Zwillinga, Schneidera, Schwarza, Gany, Gostkowskiego, Naimskiego, Wysockiego, Sabelli i innych, gdyby tylko ci panowie byli je wystawili. Szląsk austryacki i zachodnia Galicya stały się przez Dubischa i innych znamienitych hodowców zakątkiem, z którego światło pod względem hodowli karpia rozejdzie się po całej ziemi. Jakoż obcy odwiedzają Dubischa dla obeznania się na miejscu z jego metodą, prusacy posłali do niego ucznia na naukę, co i nasz kraj do takiego kroku nakłonićby powinno; różne rządy niemieckie zapraszały p. Gascha do urządzenia gospodarstw stawowych i odbył on w tym celu liczne podróże, a jego karpie ożywiają wody Ameryki. Wielki ten zwrot w kulturze karpia dawniejszej a teraźniejszej, dokonywał się cicho i niepostrzeżenie, gdyż Dubisch nie głosił swej metody. a naśladowcy jego tego także nie czynili. Dopiero w r. 1880 pierwszy p. Gasch [1]) wspomniał o „postępowaniu Dubischa“, a następnie opisali takowe szczegółowo Dr. M. Nowicki [2]) na podstawie wiadomości otrzymanych od wspomnianego powyżej barona S. Wattmanna, zaś p. Borne [3]) z opowiadania samego Dubischa, którego w tym celu umyślnie odwiedził, a Cieszyńska dyrekcya kameralna [4]) z wiadomych jej jako władzy różnic, jakie się jej uwydatniły między gospodarką dawną a metodą nową Dubischa.

Przez te ogłoszenia imię Dubischa i jego nowa metoda zostały po latach wydobyte na jaw i doszły do wiadomości szerszych kół hodowców karpi, wobec czego jeszcze tylko życzyćby należało, aby ta jego metoda w interesie dobra ogólnego wszędzie się przyjęła i bujny plon wydała. Może ona, jak każde dzieło ludzkie, być udoskonaloną, to jednak, że Dubisch pierwszy wskazał nią prostą drogę ku wzorowej hodowli karpia, pozostanie na zawsze jego niezaprzeczoną zasługą, której trwałym pomnikiem będzie cześć i wdzięczność potomnych producentów i konsumentów karpi.

---

[1]) Gasch A., Die Teichwirthschaft auf dem Gute Kaniów 1880; Beiträge zur Fischzucht und Teichwirthschaft, 1883.

[2]) Nowicki M. Dr., Gospodarstwo karpiowe w Rudzie różanieckiej (Okólnik Nr. 1 Tow. ryb.) 1881.

[3]) Borne M. v. d., Züchtet Sommerlaichfische (Circular des deut. Fisch.-Vereines) 1884.

[4]) Erzherzogliche Cameral-Direction, Die Fischzuchtverhältnisse auf der erzherzoglich oesterreichischen Kammer Teschen (Bayerische Fischerei-Zeitung Nr. 12, Mittheilungen des oesterr. Fisch.-Vereines Nr. 13) 1884.

I. Związkowa drukarnia we Lwowie.